Edmond Hamilton

Cytadela Gwiezdnych Panów

(Citadel of the Star Lords)

Imagination Stories of Science and Fantasy, October 1956
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

ROZDZIAŁ I

Kiedy leciał poprzez noc swoim samolotem na północ, Price rozmyślał o kolejce górskiej, w czasach gdy był dzieckiem, o tym, jak jechało się nią coraz szybciej i szybciej, aż wpadało się w wielki zjazd.

Cóż, teraz on też wpadł w wielki zjazd. Jak skończy się ta jazda kolejką górską – więzieniem, ucieczką, czy śmiercią w katastrofie samolotu? W grę wchodziły tylko te trzy możliwości.

Trzeba zapamiętać to sobie na przyszłość. Musiał w tej przyszłości pamiętać, że dobrze byłoby nie snuć fantazji o fantastycznym przeznaczeniu, podczas gdy tak naprawdę pędził ku…

Popatrzył w dół i dostrzegł tylko czerń. Pustynie Kalifornii i Nevady są ciemne i szerokie, a on trzymał się z dala od głównych szlaków i magistrali powietrznych.

Utrzymywał Beechcrafta tak wysoko, jak tylko mógł. Leciał bez świateł, ale przy tym, co już mieli przeciwko niemu, to drobne wykroczenie nie było aż takie ważne. Nieustannie oglądał się do tyłu, spodziewając się, że z każdą chwilą zobaczy czerwono-zielone światełka na skrzydłach samolotów Patrolu Granicznego, wchodzących mu na ogon.

Jeżeli będzie miał szczęście, jeżeli uda mu się prześlizgiwać im między palcami wystarczająco długo, jeżeli doleci na północ niezauważony przez samoloty pasażerskie kursujące między Las Vegas i Los Angeles, może uda mu się dotrzeć do Billa Willermana i ukryć Beechcrafta. Jeżeli… jeżeli… jeżeli…

Było jeszcze jedno „jeżeli”, pomyślał z goryczą Price. Jeżeli miałby choćby odrobinę oleju w mózgownicy, w ogóle by go tutaj nie było.

Włączył radio. Kręcił pokrętłem, słuchając głośnej muzyki z hotelu w Vegas, potem przemówienia politycznego, potem jeszcze więcej muzyki – a w końcu wiadomości. Tak jak się spodziewał, był na samym początku listy.

— …tak więc, chociaż Arnolfo Ruiz, rewolucyjny wygnaniec, został aresztowany przez meksykańską policję, władze Stanów Zjednoczonych prowadzą intensywne poszukiwania lotnicze amerykańskiego pilota, który przemycił Ruiza przez granicę. Wiadomo, że ten nieznany na razie pilot powrócił godzinę temu na północną stronę granicy, i policja trzech stanów została postawiona w stan alarmu.

— AEC ogłosiła, że jej następny test będzie dotyczył nowej, eksperymentalnej, małej bomby wodorowej, której skutki będą badane pod kątem…

Price gwałtownie wyłączył radio. Przeklął spikera, Ruiza i siebie samego. Przede wszystkim siebie.

Zachował się jak ostatni półgłówek. Kiedy pewien złotousty rozmówca wcisnął mu fałszywą historyjkę o potajemnej podróży służbowej, przemycił do przyjaznego państwa najgroźniejszego wichrzyciela na całej półkuli. Kto mu uwierzy, że nie wiedział kogo przewozi? Zrobił to, a naciski z Waszyngtonu zapewnią że dostanie pełną zapłatę za swoje szaleństwo.

Trzeba było w końcu spojrzeć prawdzie w oczy. Gdyby nie ta sprawa, byłaby jakaś inna. Od lat popełniał głupstwo za głupstwem, od czasów Korei. Inni piloci wrócili stamtąd do domu i ponownie zajęli się robotą, ale dla niego zwykła praca stała się zbyt nudna; dla zabawy i podniecenia dryfował z prądem razem z innymi latającymi szybkimi chłopcami, przewożąc imprezy myśliwskie i wędkarskie, wydając zyski w przygranicznych barach; bankrutował i zaczynał od nowa – a teraz w końcu to. Jego jazda kolejką górską dobiegała końca.

Skończy się na dobre, jeśli nie dotrze na ranczo Willermana przed wschodem słońca. Bill ukryłby dla niego samolot. W dawnych czasach kilka razy uratował Billowi głowę i mógł na nim polegać. Ale najpierw musiał do niego dotrzeć.

Dostrzegł na niebie łunę, pochodzącą od świateł Las Vegas, i ostrożnie trzymał się z dala od niej. Znowu się obejrzał. Nie widać jeszcze samolotów patrolowych. Kiedy tak leciał dalej, Price zaczął czuć, że może mu się udać.

Potem nagle i w katastrofalny sposób, wszystko wydarzyło się naraz.

Zobaczył przed sobą na ziemi światła — dziwnie rozproszony wzór świateł zbyt rzadkich, by mogło to być miasto, a zbyt rozległych, by mogło to być ranczo.

W tej samej chwili z ciemności w górze wyskoczyły dwa szybkie odrzutowce i prawie urwały mu skrzydła. Zawróciły, żeby wykonać kolejny przelot.

„Samoloty Sił Powietrznych!” — pomyślał Price. — „Do diabła, no to po sprawie…”

Wydawało się szaleństwem, że rząd tak bardzo chciał go dopaść. Ale odrzutowce wykonywały w jego stronę kolejny błyskawiczny przelot, próbując go nastraszyć, zmusić do lądowania.

Miał mniej niż jedną szansę na milion, na ich zgubienie, i dobrze o tym wiedział. Ale czekał go długi czas w więzieniu i równie dobrze mógłby dać sobie szansę. Możliwe, że wolniejszy Beechcraft zdoła zniknąć w ciemnościach, następnym razem kiedy go wyprzedzą.

Pchnął przepustnicę samolotu na pełny gaz, pędząc wysoko nad porozrzucanymi światełkami. Po chwili, co wydawało się niewiarygodne, uwolnił się od swoich prześladowców. Obejrzał się do tyłu i zobaczył, że się wycofują.

To nie miało sensu. Dlaczego wycofali się tak nagle? W każdym razie, skoro te odrzutowce zeszły mu z ogona, wciąż miał szansę.

Price popatrzył w dół. Wśród iskierek na ziemi zobaczył światełka na dziwacznej stalowej wieży. Widział gdzieś zdjęcia takiej wieży. To nie była platforma wiertnicza, ale coś, czego nie pamiętał.

A potem nagle przypomniał sobie i zadławił go straszliwy chłód, a jego ciało wzdrygnęło się, kiedy zobaczył otwierające się przed nim drzwi wiodące prosto w senny koszmar.

Ta wieża i zapowiedź nowego testu bomby wodorowej, odległość dzieląca go od Las Vegas, i sposób, w jaki te szybkie odrzutowce się wycofały...

— O nie — powiedział Price. — Och, nie, o nie, o nie…

Ciągle jeszcze powtarzał te słowa, kiedy bomba wybuchła i pod jego pędzącym samolotem rozpadł się wszechświat.

ROZDZIAŁ II

Kataklizm, który dotknął Price'a, pozbawiony był światła i dźwięku. To, kiedy pomyślał o tym później, było najstraszniejszą jego cechą.

Poczuł wstrząs, ale nie wstrząs ostatecznego unicestwienia, jakiego się spodziewał. To było potężne uderzenie, jakby samolot trafił w jakąś barierę i przedarł się przez nią; rozdzierające, rozrywające, oszałamiające wydarzenie, które nie przypominało niczego innego, czego kiedykolwiek w życiu doświadczył.

Krzyknął, czyste przerażenie wypchnęło mu powietrze z płuc. Jego ciało zawisło na pasach i po tym poznał, że samolot wpadł w korkociąg. Mechanicznie, jego ręce sięgnęły do sterów. Wyrównał lot…

A więc nie był martwy. Ciągle żył, nie został unicestwiony, ale jak to możliwe, skoro szalejąca energia bomby wodorowej została wyzwolona tuż pod nim?

Umysł Price'a zmienił się w kotłowaninę myśli. Co się stało?

Zbłądził wprost nad obszar testowania bomb, tuż nad wieżę bombową. A odrzutowce strzegące tego terenu próbowały go zatrzymać. Prawdopodobnie, gdyby nie miał wyłączonego radia, usłyszałby, jak wykrzykują w jego stronę gorączkowe ostrzeżenia.

Ale czy bomba naprawdę wybuchła? Gdyby tak było, z pewnością zostałby natychmiast unicestwiony.

Tak się jednak nie stało. Ciągle był żywy. Samolot leciał dalej poprzez noc. Przyrządy działały.

A jednak coś strasznego się wydarzyło. Ten upiorny, wykręcający wstrząs, który zdawał się przeszywać wszystkie atomy jego ciała – jego ciało wciąż skręcało się na samo jego wspomnienie. Coś się wydarzyło. Ale co?

Price nie potrafił nad tym się zastanawiać. Jego umysł po prostu nie był w stanie zmagać się z czymś takim. Siedział, machinalnie dotykając sterów, a Beechcraft z rykiem pędził przed siebie.

Stopniowo jego umysł zaczął ożywać. Niepewnie zawrócił samolot. Wracał do Las Vegas. W tej chwili aresztowanie i więzienie wyglądały dla

niego całkiem atrakcyjnie w porównaniu z tym, co się wydarzyło lub niemalże się wydarzyło.

Pomyślał, że gdyby nie próbował tak zapamiętale uciekać, pamiętałby o zbliżających się testach bomb. Były na ten temat artykuły w gazetach. Ocenzurowane doniesienia o radykalnych efektach fizycznych wykrytych podczas eksplozji bomb wodorowych nowego typu oraz wzmianki o skomplikowanych przygotowaniach w celu zbadania tych niezwykłych efektów.

Nagle Price podskoczył w górę, w myśli. Przypomniał sobie wypowiedź jakiegoś naukowca, że centrum wybuchu bomby nowego typu może być podobne do oka huraganu, może ono stanowić punkt skupienia niewyobrażalnych sił, ale te siły mogą na nie wpływać w radykalnie odmienny sposób.

A więc, czy bomba pod nim wybuchła? Czy on sam i jego samolot, w „oku" potężnej eksplozji, zostali w jakiś sposób przerzuceni przez bariery przestrzeni w bezpieczne miejsce, zanim światło, dźwięk i zniszczenie w ogóle zdołały do niech dotrzeć?

Wydawało się to szaloną spekulacją. Jednak w tej sprawie wszystko było szalone. Nie byłby sobą, gdyby jak najszybciej nie wylądował na ziemi.

Nigdzie w mrokach nocy nie widział świateł Las Vegas. Włączył radio i odezwał się przez nie ochrypłym głosem.

— Beechcraft 4556 wzywa Port Lotniczy w Las Vegas! Las Vegas, odpowiedzcie!

Nie było odpowiedzi. Radio wydawało się działać, ale kiedy poruszył pokrętłem na słuchawce, nie wydobył się żaden dźwięk.

— Jestem ogłuszony — mruknął Price. — I nic w tym dziwnego, jeśli…

Nie był w stanie dokończyć tej myśli, stanowiła ona zbyt duży wstrząs na duszy, aby spekulować, co mogło mu się przydarzyć.

Wprowadził samolot w skręt, szukając świateł autostrad, radiolatarni wytyczających lotnicze trasy, czegokolwiek.

Nic. Nic prócz ciemności i gwiazd.

Nieco gorączkowo zawrócił samolot i ponownie ruszył na wschód. Musiał przegapić Las Vegas. Ale jeśli będzie dalej leciał na wschód, z pewnością przetnie linie głównych autostrad. Latem, nawet w nocy, zawsze było na nich pełno samochodów.

Latał i leciał. Lecz nadal wszędzie panowała ciemność. Żadnych świateł, nawet światełka z jakiegoś samotnego rancza.

Niczego.

Wylądowałby teraz z radością, ale nie wiedział, gdzie jest ani co znajduje się pod nim. Beechcraft był wyposażony w dodatkowe zbiorniki paliwa na długie loty z dala od wszelkich źródeł zaopatrzenia, a kiedy wylatywał, były one pełne. Mógł latać jeszcze długo.

A więc, leciał.

Po chwili zaczął myśleć, że jest tylko jedno wytłumaczenie tej sytuacji. Był martwy i leciał w przedsionku piekła.

A przedsionek piekła, jak się wydawało, trwał wiecznie.

W końcu, po wielu godzinach, w ciemności przed nim pojawiło się światło i serce podskoczyło mu na myśl, że wreszcie odnalazł blask jakiegoś wielkiego miasta. Ale to był tylko świt. Patrzył, jak pełznie zimny i szary przez świat, i wiedział już, że żyje. Ale nie był z tego powodu jakoś specjalnie uradowany. Teraz bowiem widział w końcu, co znajdowało się w dole.

Las. Rozciągał się jak ciemnozielone morze, z północy na południe, ze wschodu na zachód. Price zostawił pustynię daleko za sobą. Oceniał, że znalazł się już gdzieś nad Missouri, i powinien widzieć miasta, wsie, farmy, pola uprawne.

Był tylko las.

Poświata brzasku zrobiła się różowa, a potem złota. Słońce wzeszło i nastał dzień. Daleko przed nim lśniła Missisipi. Price skierował Beechcrafta na pełnym gazie, w kierunku St. Louis. Nie dostrzegał żadnych dymów z kompleksu wielkiego miasta i przemysłu, który rozciągał się tam po obu brzegach rzeki, i nie mógł znaleźć żadnych mostów. Ale przecież St. Louis musiało tam być.

I było. Ale bardzo się zmieniło, odkąd widział je po raz ostatni. Wysokie budynki zrobiły się niskie, a niskie zmieniły się w kopce, skorupy pokryte krzakami i trawą, zaś na ulicach i przez powybijane okna wyrastały drzewa. Rzeka, rozległa i spokojna, była pusta, nie licząc pływających kłód. Widoczne wzdłuż brzegów konstrukcje, mogły kiedyś być nabrzeżami, ale już nimi nie były. I wszędzie panowała ogromna cisza.

Przez jedną szaloną chwilę Price myślał: To efekt działania testowanej zeszłej nocy bomby, bomby nowego typu o energii, o której nawet nie śnili. Potem zdał sobie sprawę, że to w zasadzie niemożliwe. Przy pomocy bomby wodorowej można w ciągu kilku sekund zniszczyć miasto, ale nie da się na gruzach ratusza wyhodować wysokiego na sześćdziesiąt stóp dębu, w mniej niż sto lat.

Od ostatniej nocy minęło sporo czasu.

To było zbyt wiele, by mógł ogarnąć wszystko na raz. Price nawet tego nie próbował. Szukał jakiegoś miejsca do lądowania, ale nic nie znalazł, więc poleciał dalej na wschód, przez rzekę.

Minęło sporo czasu, a on przemieścił się wraz z nim. Powoli do Price'a zaczęła docierać straszna i niewiarygodna prawda o tym, co się wydarzyło. Rozdzierający wstrząs, który poczuł w oku eksplozji, nie miał charakteru fizycznego, lecz temporalny. Niezrozumiałe moce bomby były potężniejsze, niż ktokolwiek przypuszczał. Wypaczyły one uporządkowaną materię samego kontinuum czasoprzestrzennego, a działając na materię jego samego i jego samolotu w „oku” eksplozji, wypaczyły także i ją – posyłając ją w przyszłość.

Beechcraft terkotał na pustym niebie. Price patrzył z góry na pustkowia, zielone, spokojne i tak bezproduktywne, jak wtedy zanim ludzie przybyli na nie z siekierami i pługami, aby je oswoić.

Jak daleko w przyszłość?

Nie wiedział.

Czy gdzieś w tej dziczy nadal żyli ludzie? A może ludzkość zniszczyła samą siebie w finalnym akcie atomowego szaleństwa? Czy wszystkie miasta rozpadły się w proch i w pył?

Tego też nie wiedział.

Wiedział tylko, że jest za bardzo odrętwiały i wyczerpany, by lecieć dużo dalej. Musiał zdobyć wodę, jedzenie i złapać trochę snu. Musiał znaleźć miejsce do lądowania.

Znalazł je daleko za rzeką, naturalną prerię między drzewami. Obserwując falowanie trawy spróbował ocenić, w jakim kierunku wieje wiatr, a potem zatoczył długi łuk na północ, aby skierować się pod niego. Kiedy to robił, wydało mu się, że na północnym wschodzie dostrzegł błysk żelaza, coś bardzo wielkiego i dziwnego, jakby słońce odbijało się od wysokiej i szerokiej jak góra, metalowej powierzchni. Potem opadł niżej nad wierzchołki drzew i czymkolwiek był ten błysk, zniknął mu on z oczu.

Beechcraft podskoczył na trawie i zatrzymał się. Price siedział przez chwilę, przypatrując się, jak trzęsą mu się ręce na sterach, a potem zwykłe środki ostrożności kazały mu podjechać z powrotem samolotem, na kraniec prerii, i ustawić go pod wiatr, tak by był gotowy do ponownego startu bez chwili zwłoki.

W samolocie miał sportowy karabin i rewolwer. Przypasał rewolwer, wypchał kieszenie nabojami do karabinu i zszedł na ziemię. Stał przez kilka minut pod osłoną skrzydła samolotu, rozglądając się dookoła, ale nie dostrzegał żadnych oznak życia poza parą wron trzepoczących mu nad głową, z ochrypłym krakaniem. Było późne lato, wiatr był suchy i gorący. Zaczął iść w kierunku lasu.

Idąc w północno-wschodnim kierunku, czuł się trochę oszołomiony. Co to było, ten niesamowity żelazny ogrom, który dostrzegł tam w oddali?

Jakieś trzydzieści jardów od samolotu Price zatrzymał się nagle, serce zaczęło mu walić, a na skórze pojawił się zimny pot. Trawa była tu wydeptana w nieregularnym kręgu, z powycinanymi w darni bliznami gołej ziemi. Widać było duże ilości krwi, ledwie co zaschniętej. Szeroka stratowana ścieżka prowadziła do lasu. Coś tutaj zabito, coś dużego, jak koń lub krowa, a ciało wciągnięto między drzewa.

Ludzie. Myśliwi. Zwierzę zjadłoby swoją ofiarę tam, gdzie padła.

Ale co za ludzie?

Price stał na wpół przykucając nad zakrwawioną ziemią, z karabinem gotowym do strzału, rozglądając się na wszystkie strony, i nic nie mogąc dostrzec. Gorący wiatr przelatywał nad prerią, a otaczające ją drzewa kłaniały się mu i siały gałęziami, ale nie było widać żadnego innego ruchu, ani dźwięku. Nawet wrony zniknęły.

Price krzyknął:

— Halo! Halo! Jest tam ktoś? Zgubiłem się. Potrzebuję pomocy. Halo!

Jego głos brzmiał szokująco w panującej kompletnej ciszy, głośno i nieuprzejmie.

Nie było odpowiedzi.

Ruszył wydeptaną ścieżką w stronę drzew. Bał się i był rozpaczliwie zmęczony.

— Halo? — zawołał, tym razem jego głos zabrzmiał błagalnym tonem. — Proszę. Gdzie jesteście? Pomóżcie mi…

„Pomóżcie mi ludzie z nieznanej przyszłości, myśliwi z niemożliwości, czający się w koszmarze. Pomóż mi albo zginę."

Cienie pod drzewami były głębokie. Trawa preriowa tutaj nie rosła, ale widać było wrzosy i inną roślinność poszycia, która wskazywała wygnieciony szlak. Nie był długi. Zobaczył zdobycz leżącą na niewielkiej polanie. Była to czarno-biała krowa, częściowo już poćwiartowana. Ruszył w jej stronę, a wtedy z gałęzi w górze i zarośli po obu bokach, wyleciały krótkie liny z plecionej skóry, obciążone na końcach kamieniami. Price upadł miotając się bezradnie, boleśnie posiniaczony, z rękami i nogami owiniętymi mocnymi linami podobnymi do bolo, a jeden ze sznurów, na szyi, odciął mu oddech, tak że nie mógł nawet krzyknąć.

W błyskawicznym i gwałtownym pośpiechu spomiędzy drzew wyskoczyło sześciu ludzi i otoczyło go. Jeden chwycił za karabin, drugi za rewolwer. Mieli na sobie szczątkowe ubrania z garbowanej skóry i byli równie ciemnoskórzy i dzicy jak Shawnee i Wyandoci, którzy dawno temu polowali na tych leśnych preriach, z tym wyjątkiem, że niektórzy z nich mieli jasne włosy, a wszyscy nosili brody.

Jeden z nich, wysoki, szczupły mężczyzna o szerokich ramionach, z burzą spłowiałych od słońca brązowych włosów i oczyma bardziej niebieskimi, bardziej rozpalonymi i pełnymi nienawiści, niż Price kiedykolwiek widział w życiu, przykucnął koło niego i niedbale zerwał z jego szyi dławiącą go linę. Price próbował się odezwać, ale zanim zdążył zrobić coś więcej niż tylko złapać oddech, brązowowłosy mężczyzna wyciągnął nóż i wycelował jego ostrze prosto w gardło Price'a.

— A teraz — oznajmił — ty gwiezdny pomiocie – zobaczymy, czy twoja krew jest bardziej czerwona niż ta, którą mamy tutaj na Ziemi!

Stal ukąsiła mocno. Price krzyknął.

ROZDZIAŁ III

Brązowowłosy człowiek z widoczną zręcznością wyciągnął nóż z jego szyi, czubek pokryty był czerwienią na jakieś ćwierć cala. Price patrzył na nóż i na niego, otępiały z przerażenia. Sześć wilczych twarzy zebranych w ciasnym kręgu nad nim, spoglądało w dół z uśmiechem.

— Ten sam kolor, Burr. Kto by pomyślał?

— Zwykła krew. Ha! A zawsze myślałem, że oni krwawią czymś szarym i lśniącym jak rtęć.

— Wbij mu go jeszcze raz, Burr.

— Szkoda, że nie mamy czasu — odparł Burr i oblizał usta czerwonym językiem. — Ale oni wiedzą, że tu jesteśmy. — Westchnął i ponownie uniósł nóż. — Musimy się stąd zabierać. Szybko.

Price odzyskał głos.

— Na litość boską — zawołał. — Na litość boską, co wy robicie? Proszę was o pomoc, a wy… — szamotał się wściekle z linami. — Nie macie prawa mnie zabijać. Nie wyrządziłem wam żadnej krzywdy.

— Gwiezdny pomiocie — wycedził cicho Burr, po raz drugi używając tego określenia. Dźgnął Price'a ostrzem noża, nad paskiem. — Gdybym miał czas, zrobiłbym to powoli, bardzo powoli. Ciesz się, że czasu nie mamy.

— Ale dlaczego? — krzyknął Price. — Z jakiego powodu? — Popatrzył na krąg owłosionych twarzy. — Dotarłem tutaj dopiero dzisiaj. Nie mogłem wam nic zrobić. Przybyłem z…

„Z wczoraj? Z czasów sto lat temu? Przez czas? Powiedz im coś takiego i każ im to uwierzyć. Może ci uwierzą. Ja bym tego nie zrobił.”

— …z Zachodu — dokończył. — Z Nevady. Nie mam nic wspólnego z gwiazdami.

Burr roześmiał się. Uniósł nóż. Ale inny człowiek, o bystrych ciemnych oczach i siwych włosach na brodzie, złapał go za nadgarstek.

— Poczekaj chwilę. Spójrz na jego włosy. Są tak samo ciemne, jak moje.

— Farbowane — stwierdził Burr. — Popatrz na jego ubranie. Popatrz na latacz, którym przyleciał, na jego broń. Popatrz, gdzie jest – w Zakazanym Pasie. Jeśli nie pochodzi z Cytadeli… nie bądź głupcem, Twist. Odsuń się.

— Dlaczego miałby farbować włosy, żeby wyglądały jak człowieka, a potem przylatywać do nas lataczem? Czy to rozsądne? A teraz poczekaj, Burr. Słyszysz? Jest sposób, żeby to stwierdzić.

Burr trochę narzekał, ale rozluźnił się, a Twist puścił jego rękę. Złapał Price'a za kołnierz i zaciągnął go na polanę obok zabitej krowy, gdzie smugi słońca padały silnym światłem. Potem kręcił głową Price'a do przodu i do tyłu, przyglądając się jej z ogromnym zainteresowaniem. Pozostali spoglądali mu przez ramię.

— Jego oczy też są ciemne — powiedział Twist. — Nie da się ufarbować gałek ocznych. I spójrz tutaj. Widzisz to, Burr? Pomacaj to. Ma resztki brody. Już wszyscy wiemy, że Gwiezdnym Panom nie rosną włosy na ich ślicznych twarzyczkach.

— Hej — oznajmili pozostali. — Zgadza się. Twist ma rację.

— Oczywiście, że ma rację — wtrącił Price. — Jestem człowiekiem. — Tyle się domyślił. Reszta rozmowy była dla niego zagadką, ale to nie miało znaczenia. Nie teraz. — Pochodzę z Zachodu. Jestem przyjacielem.

Burr wyglądał na ponurego.

— Ludzie nie latają. Robią to tylko Gwiezdni Panowie.

— Może jest ich współpracownikiem? — powiedział jasnowłosy chłopiec, gorliwie starając się pomóc, a Burr znów się uśmiechnął.

— Może. W każdym razie to nikt z nas. Odsuń się, Twist.

Ale Twist nie chciał się odsunąć. Popatrzył na innych z ojcowskim gniewem na ich głupotę.

— Bardzo masz dziś ochotę na zabijanie, Burr. A ciekawe co powie wódz, kiedy wrócimy i powiemy mu, że ten człowiek przyleciał tutaj samolotem i poprosił nas o pomoc, a my zarżnęliśmy go jak świnię i zostawiliśmy samolot dla Gwiezdnych Panów?

Z jakiegoś powodu słowo „samolot" otrzeźwiło ich i wzbudziło w nich chwilę refleksji. Twist wykorzystał uzyskaną przewagę.

— Wszyscy widzieliście stare zdjęcia. Wiecie, że ten latacz nie pochodzi z Cytadeli. Ma zupełnie inny kształt i wydaje inny hałas. To samolot. Może ostatni na Ziemi i ten człowiek potrafi nim latać. A ty chcesz poderżnąć mu gardło?

Zapadła krótka cisza, w czasie której Price miał wrażenie, że słyszy krople potu spadające mu z czoła. Potem Burr odparł bez urazy w głosie:

— Myślę, że masz rację. Lepiej zabierzmy go do wodza.

— No dobrze — powiedział Twist. Przykucnął i zaczął odwijać liny bolo krępujące więźnia. Price rzucił: „Dzięki". Słowo to wydawało się bardzo skromne i nieadekwatne. Twist chrząknął.

— Jeśli okaże się, że jesteś ich współpracownikiem — stwierdził, — pożałujesz, że nie dałem ci umrzeć łatwą śmiercią.

— Nie jestem — odparł Price. Jego mózg pracował z niezwykłą szybkością. — To jest… stary samolot. Dokumenty są w nim nadal. Jego istnienie utrzymywano w tajemnicy, poza… — Rozpaczliwie szukał wyjaśnień. — W mojej rodzinie latanie to tradycja. Uczymy się, z ojca na syna.

To było nawet coś zbliżonego do prawdy. Ojciec Price'a zaczął latać podczas I wojny światowej i przez lata prowadził usługi lotnicze. Dalszą część historii będzie musiał dośpiewać ze słuchu i dopomóż mu Boże, jeśli się pomyli.

Twist pomógł mu wstać na nogi

— Teraz — powiedział do pozostałych — musimy postanowić, co z tym samolotem.

— Zabierzmy go pod osłonę drzew — powiedział Burr. — Ukryjmy go.

— Możemy to zrobić — stwierdził Twist. — Ale pierwsze latające oko, które się tu pojawi, znajdzie go. Wiesz, że one potrafią więcej niż tylko patrzeć. One też wąchają. Wywąchają każdą metalową rzecz, która jest trochę większa niż nóż. — Wyciągnął obciążone kamieniami liny i potrząsnął nimi. — Dlatego używamy ich, kiedy polujemy w Pasie. Pamiętasz?

— W tej chwili, nie ma powodu, do kpin, Twist — powiedział Burr. — Jeśli masz lepszy pomysł, wysłuchamy go.

— Odlećmy nim — oznajmił ostro Twist. — Jak inaczej zaniesiemy go wodzowi? Na plecach? Potniemy go i zapakujemy na konie? Nie. — Odwrócił się do człowieka, który zabrał Price'owi pistolet. Daj mi to, Larkin. A ty, Harper, oddaj Burrowi karabin. Larkin, ty będziesz dowodził grupą. Zabierzcie wołowinę do obozowiska i zaraz jak tylko ją uwędzicie,

załadujcie ją na konie i jedźcie do domu. Uważajcie na kłopoty – to pewnie rozdrażni Cytadelę tak, jakbyście rozdrażnili rój pszczół.

Larkin, niski, potężny mężczyzna z kędzierzawą czupryną, jak pewien gatunek byka, kiedyś widziany przez Price'a, zapytał łagodnym, wysokim głosem:

— A wy z Burrem, gdzie będziecie?

Twist wskazał kciukiem w stronę nieba.

— Tam w górze — powiedział, a oczy rozbłysły mu z podniecenia. Spojrzał na Burra i uśmiechnął się.

Burr był przerażony. Widać to było w jego oczach, w sposobie, w jaki zacisnął usta. Ale nic nie powiedział. Wyciągnął tylko rękę, złapał Price'a za koszulę i mocno nim potrząsnął.

— Przez cały czas będziesz miał przystawioną do głowy broń, i nie zapominaj o tym. Zrobisz coś nie tak i już nie żyjesz.

Price odpuścił sobie wyjaśnienia, co by się stało z Burrem i Twistem, gdyby zastrzelili go w powietrzu. Tylko skinął głową i powiedział:

— Nie martw się. Mnie równie mocno zależy na dotarciu do waszego wodza, jak wam. — Wziął głęboki oddech i zanurkował w nieznane. — Po to właśnie tutaj przybyłem.

Burr powiedział:

— Jesteś daleko od swoich terenów.

— To dla mnie nowa ziemia. Zgubiłem się.

„Nie wiesz nawet, jak bardzo jestem zagubiony. Nie wiesz jak bardzo jestem samotny".

— Chodźmy — oznajmił Twist. — Już za dużo tej gadaniny.

Ruszył z powrotem drogą na skraj drzew. Price i Burr udali się za nim. Inni już zajęli się zabitą krową. Niebawem zniknęli im z oczu. Na skraju prerii trzej mężczyźni zatrzymali się i przepatrzyli teren w zasięgu wzroku, zanim opuścili osłonę drzew. Price rozejrzał się, niczego nie dostrzegł i był już gotów do dalszej drogi. Burr i Twist nie tylko przypatrywali się ziemi i niebu, wąchali wiatr i wydawali się wyczuwać niesione w powietrzu zapachy, jak zwierzęta.

Twist wzruszył ramionami i stwierdził:

— No cóż, i tak siedzimy w tym, aż po same uszy.

Zaczął biec przez wysoką trawę w kierunku samolotu. Burr ruszył za nim szybkim tempem. Price, przygnębiony wieloma rzeczami, fizyczne wyczerpanie było najmniejszą z nich, ze wszystkich sił pobiegł za nimi.

Kiedy znajdowali się w odległości mniej więcej piętnastu stóp od samolotu, nad wierzchołkami drzew pojawił się błyszczący obiekt i zakołysał się, wykonując w powietrzu kilka krótkich spiralnych kręgów. Potem przesunął się nad samolot i zawisł wysoko w górze. Było to urządzenie w kształcie dysku o średnicy około trzech stóp, z dużą soczewką na spodzie.

Twist i Burr zatrzymali się. Price podbiegł do nich, dysząc. Spoglądali w górę na dysk, a Price dostrzegł na ich twarzach szaleńczą mieszaninę gniewu, nienawiści i rozpaczliwego strachu, ludzi stojących w obliczu wroga, którego nie jest w stanie pokonać ani odwaga ani fizyczna siła.

— Co to jest? — zapytał, a Twist ochryple odparł:

— Musisz być z bardzo daleka na zachodzie, jeśli nigdy nie widziałeś latającego oka. — Ręce mu opadły u boków. — No cóż. To już koniec.

Burr zaczął przeklinać unoszący się nad nimi dysk. Wyglądał, jakby miał ochotę krzyczeć.

— Co ono może nam zrobić? — spytał Price.

— Będzie się unosiło, wisząc w tym miejscu gdzie jest teraz, aby kierować lataczami z Cytadeli. W Cytadeli widzą nas, jak tu stoimy, dokładnie w tej samej chwili. — Twarz Burra z każdą sekundą stawała się coraz bledsza, jak u człowieka, który został ukąszony przez jakieś jadowite stworzenie i zdaje sobie sprawę, że choć jeszcze żyje, nieodwołalnie skazany jest na śmierć. — Przylecą tutaj. Nie wolno wchodzić do Pasa. Już tylko za to nas zabiją. A jeszcze samolot… Bóg jeden wie, co zrobią.

— Możemy spróbować zgubić ich w lesie — zaproponował Twist bez nadziei. — Chodźmy.

Zaczął odchodzić, ale Price powiedział:

— Nie możemy uciec mu w locie?

— Latającemu oku? Pomknie za nami jak wygłodniały ogar.

To jakiś skaner telewizyjny, pomyślał Price, z urządzeniem do wykrywania metali i przekaźnikiem sygnału, który alarmuje centralę sterowania w Cytadeli. Ale czym była ta Cytadela i kto lub co w jej wnętrzu, obserwowało go teraz, gdy stał i gotował się na śmierć?

Zaproponował, czując że udziela mu się nagłe przerażenie od pozostałych:

— Zestrzelę je.

— Zestrzelisz je?

— Rozbiję obiektyw. Wtedy nie będzie nas widziało. Proszę, daj mi mój karabin.

Burr powiedział:

— Oszalałeś? Żadna broń nie niesie tak daleko.

— A jaką macie broń? — zapytał Price. — Do diabła, dawaj mi ten karabin.

Twist powiedział:

— Daj mu go.

Price był dobrym strzelcem. Nie wspaniałym, po prostu dobrym. Ale dzisiaj miał fenomenalny dzień. Trafiał w soczewkę i wszystko, co było za nią, tak szybko, jak tylko był w stanie ładować naboje do komory i wystrzeliwać je. Nie chybił ani razu. Dysk podskakiwał, zataczał się i w końcu spadł na ziemię, odbijając się bokami od drzew.

Price rzucił się do samolotu.

— Chodźcie! — zawołał.

Pozostali dwaj wpatrywali się w niego z obwisłymi szczękami.

— Widziałeś to? Widziałeś tę broń?

— Chodźcie — wrzasnął Price, — albo lecę bez was!

Wskoczyli do środka. Price uruchomił silnik, odpalił go pośpiesznie i wystartował, jakby na ogonie siedział mu diabeł. Jeden z mężczyzn, nie wiedział który, wrzasnął w pewnej chwili ze strachu. Potem wystrzelili ponad wierzchołki drzew i szybko wznosili się coraz wyżej.

Price obejrzał się przez ramię i po raz kolejny wydało mu się, że widzi na północnym wschodzie ciemny metaliczny połysk.

— Dokąd mam lecieć?

— Z powrotem za rzekę. A potem — przyznał powoli Twist — nie wiem. Oni widzieli samolot. Będą go szukać, przede wszystkim przeszukają Stolicę, a potem wioski. Znajdą go, a możesz sobie wyobrazić, co wtedy zrobią ludziom mieszkającym gdzieś w pobliżu. Pozwolili nam mieć nasze strzelby i noże myśliwskie, możemy więc zabijać zwierzynę, a nawet siebie nawzajem, jeśli mamy na to ochotę, ale nie wolno nam posiadać artylerii. Ani materiałów wybuchowych. I samolotów też nie. Nie, nie. Zwłaszcza samolotów. Nie wydaje mi się, aby jakiś wzbił się w powietrze, niemal od stulecia.

Twist drżał, oczy mu błyszczały, ręce ściskały siedzenie.

— Cieszę się, że mogłem jakimś polecieć, zanim umrę. To… — szukał w głowie słowa, ale poddał się. — Nie potrafię powiedzieć. Ale to sprawia, że człowiek zastanawia się, kim byliśmy kiedyś, kim moglibyśmy być dzisiaj, gdyby nie oni. — Rzucił głową do tyłu, wskazując w stronę Cytadeli. — Pomiot z gwiazd. Przeklęci Gwiezdni Panowie.

Burr wyjrzał przez okno kabiny.

— Strasznie długa droga w dół. — Potem zapytał Price'a: — Dlaczego powiedziałeś, że przybyłeś tutaj szukać wodza?

Podejrzliwy człowiek, pomyślał Price, zresztą podobnie jak Twist. Ostrożnie, ostrożnie. Ale jak można być ostrożnym, jeśli człowiek nie wie, co się dzieje na świecie i nie waży się zapytać?

Na głos Price powiedział:

— Przybyłem oddać mu samolot. Jestem ostatnim ze swojej rodziny. Chciałem dołączyć do kogoś, a na pustyni nie ma zbyt wielu ludzi. — Pomyślał, że to bezpieczne założenie. — Życie jest tam zbyt ciężkie. Chciałem dolecieć tam, gdzie są drzewa i woda.

To była dobra historia. Nie wiedział, czy w nią uwierzyli.

Beechcraft zostawił przelotny cień na rzece i ruszył dalej. Twist z niepokojem wpatrywał się w niebo z tyłu.

— Czy możesz lecieć szybciej?

— Lecę teraz na pełny gaz.

— Nie dość szybko. Oni przybywają jak błyskawica. Ziuuuu! — Odrzutowce, pomyślał Price i zaczął szukać polany w lesie. Twist dodał: — A nawet jeśli nie znajdą nas od razu, wyślą latające oczy.

— I potrafią wyczuć metal — zauważył Price. — Musimy więc znaleźć jakieś miejsce, położone z dala od wszystkich miast i nie tylko skryte przed obserwacją z góry, ale także osłonięte przed detektorami magnetycznymi. Powiedzmy, że gdzieś w jaskini, pod półką skalną, lub w pobliżu jakiegoś dużego złoża metalu, które jest im już znane. Czy przychodzi wam do głowy jakieś tego rodzaju miejsce?

Zapadła kompletna cisza i zdał sobie sprawę, że wpatrują się w niego zimnymi i podejrzliwymi spojrzeniami.

— Skąd ty tyle wiesz? — zapytał Burr.

— Czyż to nie oczywiste? — rzucił niecierpliwie Price.

— Nie dla nas. O co chodzi z tymi detektorami magnetycznymi i osłonami… i gdzie się tego nauczyłeś, jeśli nie pracujesz dla Cytadeli?

Twist jakby od niechcenia przyłożył mu lufę rewolweru do szyi.

— Nie radziłbym wam teraz do mnie strzelać — zauważył Price i bardzo szybko wyjaśnił, dlaczego. — Poza tym to cholernie głupi sposób działania. Tylko dlatego, że znam trochę elementarnej wiedzy naukowej — a jak inaczej, waszym zdaniem, latające oczy odnajdują metal? Za pomocą jakiejś nadprzyrodzonej metody?

— Hm — mruknął Twist i zabrał rewolwer. — Może on ma rację, Burr. W końcu jesteśmy tylko myśliwymi. Nigdy się specjalnie nie uczyliśmy o tych rzeczach. — Burr chrząknął szyderczo, ale siedział spokojnie, najwyraźniej przekonany, że teraz nic się nie da zrobić z Pricem. Twist zastanawiał się przez chwilę. Potem powiedział: — Znam takie miejsce. Jest tam coś w rodzaju sekretnej jaskini i, jak sądzę, wystarczająco dużo miejsca aby wylądować, szacując na podstawie tego, co robiłeś wcześniej

Wyjrzał przez okno, nieco zbity stropu odmiennością tego, jak wszystko wyglądało z góry. Ale w końcu wybrał kierunek i powiedział Price'owi:

— Tam.

Po kilku chwilach krążenia na niskiej wysokości i poszukiwań, Price znalazł to miejsce, dosyć płaski odcinek terenu na dnie małej doliny, obok zwisającej granitowej ściany. Szacunki Twista co do ilości wolnego miejsca, nie były zbyt dobre, ale udało mu się wylądować, po czym podjechał po wyboistej darni, tak blisko jak tylko mógł, do wejścia jaskini, którą wskazał Twist. Potem posłał pozostałych, by uprzątnęli parę kamieni oraz zwisających pnączy, i finalnym szarpnięciem z rykiem silnika, udało mu się wtoczyć do samej jaskini. Wyłączył silnik. W zbiornikach pozostało mu paliwa na około cztery godziny lotu.

Wysiadł z Beechcrafta i wsunął pod koła kamienie, żeby je zaklinować. Potem pomógł Burrowi i Twistowi porozsuwać pnącza wiszące nad wejściem.

Wysoki przenikliwy wizg na niebie dał im mniej niż dziesięć sekund wyprzedzenia. Rzucili się z powrotem pod zwisającą półkę skalną i wyglądali spod niej, starając się nie ruszać. Price zobaczył że tuż nad nimi, przemyka się nad górzystym terenem, jak głodny jastrząb, jajowaty statek, który nie przypominał mu kształtem żadnego z widzianych wcześniej odrzutowców. Nie miał on skrzydeł, nie pozostawiał żadnego śladu odrzutu, ale pędził przez niebo, z potężnym wizgiem silników.

ROZDZIAŁ IV

Uwięziony w tym dziwnym śnie, Price popatrzył w dół z zalesionego grzbietu na płytką zieloną dolinę. Burr wskazał ją ręką i oznajmił:

— Oto ona. Stolica Missouris.

Powiedział to z prawdziwą dumą. On i Twist często mówili o tym miejscu, podczas dwóch ostatnich dni, od kiedy ukryli samolot i skierowali się na północ. I mówili o nim z dumą. To był ich dom, miasto ich ludu, centrum tajemniczego rządu, który rządził lasami, niegdyś zajmującymi terytorium dwu wielkich stanów.

Price popatrzył na nie i poczuł litość. Litość i rozdzierający żal z powodu tego, czym kiedyś był świat i czym stał się w trakcie utraconych przez niego lat.

W dolinie, nad czystą rzeczką, położonych było pół tuzina uliczek pełnych drewnianych domów, warsztatów i kuźni. Budynki były dosyć schludne, zbudowane z masywnych drewnianych bali. Ale ulice były niebrukowane i pełne pyłu, a jedynymi pojazdami, jakie się po nich poruszały, były wozy wyładowane plonami z okolicznych pól uprawnych, karawany jucznych koni z leśnych szlaków oraz mężczyźni, kobiety i dzieci ubrani w szare skóry i wełnę. W sennym popołudniowym powietrzu unosił się cichy odgłos skrzypiących osi.

„Stolica Missouris” — pomyślał Price. — „O Boże, dlaczego to musiało przydarzyć się naszej planecie?”

Po drodze pilnie przysłuchiwał się wszystkiemu, co mówili Burr i Twist. Stopniowo fragmenty informacji ustawiały się na swoich miejscach układanki, a kilka zdawkowych pytań dopełniło apokaliptycznego obrazu.

Wydarzyło się to dawno temu, w straconych latach, latach, przez które Price przeskoczył. Na ile mógł się zorientować, było to w roku 1979, sześćdziesiąt lat temu.

Był to rok zagłady. Był to rok, w którym po raz pierwszy przylecieli przybysze z kosmosu.

Gwiezdni Panowie. Vurna, jak sami siebie nazywali. Przeklęte gwiezdne pomioty, jak nazywali ich ludzie. Ich ogromne krążowniki pojawiły się znikąd, ustawiły się wokół Ziemi, a następnie uderzyły.

Zniszczone zostało każde miasto, każde większe miasteczko, każda elektrownia atomowa, każdy arsenał, każdy ważny most, wiadukt, tama czy fabryka. W ciągu tygodnia holokaustu ludzkość została zmiażdżona przez bezlitosne krążowniki, które krążyły i krążyły wokół całej planety. Podczas tego tygodnia zginęły miliony ludzi. A krążowniki Gwiezdnych Panów odleciały.

Szybko powróciły. Tym razem nie po to by niszczyć, ale po to by zdobywać. Tereny, które były bogatymi, roześmianymi ziemiami Illinois i Indiany, stały się ich domeną. Na nich zbudowali swoją Cytadelę.

Cytadela była twierdzą, miastem, a przede wszystkim bazą. Gwiezdni Panowie z pogardą powstrzymali się od atakowania oszołomionych ludzi z Ziemi, którzy zostali zepchnięci z powrotem do stanu prawie pierwotnego.

Dla władców Cytadeli Ziemia była tylko miejscem lokalizacji ważnej bazy. Albo tak przynajmniej mówili.

Trudno się dziwić, pomyślał Price, że ci ludzie z Missouris zabijają każdego z Cytadeli, wszystkich, którzy mają z nią jakikolwiek związek. Wystarczyło, że usłyszał całą tę historię, a rozpaliło to również i jego wściekłość. Ojcowie tych ludzi przeżyli te wydarzenia, a oni sami żyli pod brzemieniem ich skutków.

Spoglądał w dół na drewniane miasteczko, gdy on, Burr i Twist schodzili do niego ścieżką i pomyślał:

„Ale trzeba bardzo uważać! Oni nadal sądzą, że mogę być z Cytadeli... Muszę uważać na każde słowo!"

Dwie godziny później Price siedział w pomieszczeniu o drewnianych ścianach, w największym z domów, rozmawiając z wodzem Missouris.

Nazywał się Sawyer i był stary. Ale nadal wyglądał groźnie, jak stary wilk w owczej skórze. Jego skórzasta twarz wyrażała dumę, inteligencję i brutalną bezwzględność. Za nim stali wodzowie Indiany i Illinois, rozproszonych ludów, których ziemie zajmowała obecnie Cytadela.

Sawyer bez słowa wysłuchał historii Price'a, podczas gdy Price, przez cały czas gdy ją opowiadał, rozmyślał, jak cienko i w naciągany sposób ona brzmiała. Ale patrząc na otaczające go twarze, wiedział, że nigdy nie zdołałby ich przekonać do prawdy.

— Dwa dni temu — oznajmił w końcu Sawyer — Vurna przybyli tutaj. Byli strasznie rozgniewani i zaniepokojeni. Szukali samolotu. Nigdy w życiu nie widziałem samolotu, i tak im powiedziałem.

Przerwał, jego śniada, pomarszczona twarz zamyśliła się. Nikt, a już najmniej Price, nie odważył się odezwać.

Zaczął mówić dalej.

— Od tego czasu niebo jest pełne ich latających oczu, szpiegujących i szukających. Musieliście je widzieć.

Burr przyjął to za zaproszenie do rozmowy.

— Widzieliśmy. Unikaliśmy ich przez całą drogę.

Sawyer popatrzył przez drzwi, na zakurzoną, oświetloną słońcem ulicę, a potem ponownie zwrócił wzrok na Price'a i rzucił z nagłą, płonącą zaciekłością:

— Mówisz mi, że słyszałeś o nas, Missouris, w swoich górach, że chciałeś przywieźć do nas swój samolot... dlaczego?

Price zamotał się:

— Ja… chciałem wam pomóc…

— Pomóc nam, w czym? — W oczach starca pojawił się teraz błysk eksplodującego granatu. — Co takiego słyszałeś, że robimy, w czym chciałeś nam pomóc?

Price wyczuł z zawziętości swojego rozmówcy, że znalazł się w bezpośrednim niebezpieczeństwie, że coś, co powiedział, pogłębiło podejrzenia wodza.

Niemal z radością przyjął przerwę, która uchroniła go przed odpowiedzią, chociaż spowodował ją odgłos, powodujący uniesienie najkrótszych nawet włosków na jego karku.

Był to dźwięk wizgu silników na niebie, odgłos podniebnych łowców z Cytadeli…

— To znowu te przeklęte pomioty z gwiazd, lecą do nas na dół! — zawołał jeden z ludzi za Sawyerem.

Starzec wstał z niesamowitą energią. Wyszczekał rozkaz do Twista i Burra, wskazując na Price'a.

— Zabierzcie go na górę. Jeśli choćby piśnie, poderżnijcie mu gardło, ale zróbcie to po cichu.

Niewiele dłużej niż chwilę później Price znalazł się w gorącym, zakurzonym małym pokoju. W ciężkich drewnianych okiennicach wycięte były strzelnice, które wpuszczały do pokoju równe paski złotego światła.

Usłyszał skowyt latacza, który szybko schodził w dół. Podszedł do strzelnicy.

— Nie — oznajmił Burr.

Price odwrócił się i popatrzył na niego. Utrzymywał przyciszony ton głosu.

— Niech cię diabli wezmą — powiedział. — Możesz stać za mną z nożem. Nie będę krzyczeć. Ale muszę to zobaczyć.

Usłyszał, jak Burr i Twist stają tuż za nim, gdy wyglądał przez szeroką szczelinę.

Na zielonym placu, pionowo schodził do lądowania biały statek, oznaczony dziwnymi insygniami. Pomyślał, że to musi być jakiegoś rodzaju aerodyna. Nigdy nie widział czegoś takiego w locie, w tych dziwnie odległych i szybko zacierających się w pamięci czasach, z których przybył, ale oglądał plany konstrukcyjne i działający model. Wydawało się, że lądujący pojazd jest udoskonaleniem tej samej zasady, szybszy niż odrzutowiec i zwrotny jak balon-zabawka. Swędziały go dłonie, żeby usiąść za jego sterami.

Zobaczył na boku insygnia – złoty rozbłysk słońca, w samym sercu z czymś, co wyglądało jak wielobarwna, wielofasetowa kula. Nie wiedział, co on oznacza, ale wiedział, czym on jest. Znakiem Gwiezdnych Panów Vurny. I nawet w chwili kiedy wyglądał, z łodzi wyszło czterech z nich.

Przeszli ulicą do miejsca, gdzie w milczeniu czekali Sawyer i pozostali wodzowie oraz niewielki tłum odzianych w skóry ludzi. Nikt nie miał przy sobie broni, nikt nie wykonał żadnego ruchu. A jednak ta zakurzona ulica była wręcz naelektryzowana nienawiścią tak głęboką, silną i wibrującą, że Price aż zadrżał.

Jednak czterej Vurna szli dumnie wyprostowani. Gwiezdni Panowie, przybyli z niepojętej przestrzeni kosmicznej, którzy zmiażdżyli Ziemię jak dziecinną zabawkę, aby uczynić z niej podnóżek dla siebie. Price przysunął się mocniej do strzelnicy. Chciał ich obejrzeć naprawdę bardzo dokładnie.

Zwłaszcza jednego z nich.

Gwiezdni Panowie byli wysocy, dobrze zbudowani i wyglądali bardzo podobnie do Ziemian, z wyjątkiem tego, że nosili obcisłe szaty w różnych kolorach, ale wszystkie skrojone według tego samego wzoru. Price domyślał się, że są to mundury, których kolory wskazują stopień wojskowy lub rodzaj sił zbrojnych. Inną rzeczą różniącą ich od ludzi, były kolory samych Gwiezdnych Panów. Byli opaleni na brąz, jak gdyby promieniowaniem silniejszym niż jakiekolwiek inne znane na Ziemi, a ich włosy były srebrne. Nie białe i nie siwe, lecz intensywnie srebrne. Mężczyźni – trzech z czwórki przybyszów byli to mężczyźni – nosili krótkie włosy.

Kobieta miała długą, falującą fryzurę, opadającą jej na ramiona. Jej włosy chwytały światło zachodzącego słońca i błyszczały jak rozżarzony metal. Mundur kobiety był intensywnie szkarłatny, ciemniejszy niż ogień, opinał jej długie uda i wysokie, pełne piersi.

W tej właśnie chwili, Sawyer przemawiał do nich, jego głos rozlegał się szorstkim echem, w ciszy.

— Jeśli nadal szukacie tego samolotu, moja odpowiedź jest taka sama jak przedtem. Nigdy żadnego nie widziałem.

Jeden z ludzi z Vurna, który wydawał się mieć władzę, wyszedł na krok przed pozostałych dwu mężczyzn i kobietę.

Kobieta uniosła głowę i spoglądała niespokojnym wzrokiem na puste lub zasłonięte okiennicami drewniane domy. Price poczuł się nieswojo, jakby wiedziała, że on tu jest i patrzy na nią przez otwór na broń. Ale to, oczywiście, było śmieszne.

— Sawyer, posłuchaj mnie — powiedział człowiek z Vurny. Mówił czystym, lecz sztywnym angielskim, z mocnymi tonami jakiegoś obcego języka, słyszalnymi w niezwyczajnych rytmach. Miał na sobie czarny mundur z małym złotym paskiem na kołnierzu. Nie można było odgadnąć jego wieku. I chociaż zachowywał opanowany głos i spokój w działaniu, widać było, że kipi w nim gniew.

W umyśle Price'a również wzbierała złość, narastała w nim głęboka wściekłość, gdy patrzył na tych trzech mężczyzn i kobietę, stojących tutaj jak zdobywcy planety, którą zniszczyli, obojętnych na nienawiść, z którą się spotykali.

— Nie ma czasu ani miejsca, na upór i obstrukcję — mówił mężczyzna z Vurny. — Teraz sprawy toczą się szybko. Stoimy wobec wroga tak ogromnego i potężnego, że nie odważymy się mieć go również za plecami, bez względu na to, jaki byłby słaby. Proszę cię, abyś w to uwierzył, Sawyer. Proszę cię, abyś pojął, że jeśli Vurna upadną, wy też zginiecie… — wykonał ręką nagły gest cięcia — …i to wszyscy.

— A ja proszę ciebie — odparł Sawyer, — abyś popatrzył na moje siwe włosy i nie obrażał ich, mówiąc do mnie jak do dziecka. — Jego głos brzmiał mocno i wcale nie służalczo. — Możesz sobie darować tę starą bajeczkę o „wrogu". Śmiałem się z niej, gdy byłem jeszcze w kołysce. Na tej Ziemi widziano tylko jednego wroga, i jesteście nim wy.

W tłumie rozległ się pomruk:

— Tak.

— Wasze statki kosmiczne — mówił dalej Sawyer — unicestwiły nasze miasta i zniszczyły nasz lud oraz nasz świat, doprowadzając go do stanu, w jakim jest obecnie. Mój ojciec widział to na własne oczy. Jednego dnia wolny świat, następnego… nic. Tak szybko, że prawie nikt nie oddał ciosu za cios. To wy to zrobiliście.

Tłum szeptał coraz głośniej. Price poczuł, że Burr i Twist poruszają się obok niego, dysząc w ciemności. Dysząc nienawiścią.

— Nie przychodź do mnie, starego człowieka — kontynuował Sawyer — i nie proś mnie, abym uwierzył w jakieś głupoty. A co do samolotu, o którym mówisz, że go widziałeś, powtarzam ci raz jeszcze, że nie mam go. A gdybym go miał, nie oddałbym go ani tobie, ani innym ludziom. I dobrze o tym wiesz, Arrin.

Kobieta przemówiła krótko do Arrina, w ich własnym języku, a ton jej głosu i gesty, zdawały się wskazywać, że marnują tutaj swój czas. Jej głos brzmiał nisko i czysto, był równie piękny jak ona sama, ale słychać było w nim niecierpliwą pogardę, która sprawiła, że Price się najeżył. To samo widać było w jej oczach, kiedy patrzyła na starego szefa Missouris.

Arrin pokręcił głową.

— Sawyer, powtarzam ci raz jeszcze, tak jak mówimy wam to już od dwóch pokoleń, że to nie Vurna zniszczyła wasz świat, ale Ei. I powiem ci, że Ei może nawet zaatakować Cytadelę i że los Ziemi rozstrzygnie się w tej bitwie, tak samo jak nasz.

Jego głos uniósł się nagle w bardzo ludzkim gniewie.

— Toczy się wojna, ty uparty starcze! Wojna rozległa… potężna… — Jego ramię zatoczyło szeroki krąg, który zdawał się obejmować całe niebo po stronie zachodzącego słońca. Ziemia nie ma w sobie nic interesującego. Wysunięta baza, punkt obserwacyjny, to wszystko. Ale jeśli go utracimy, Ei zmiecie tę część galaktyki i wy pożałujecie tego bardziej niż my. My możemy się wycofać. Wy nie możecie. Myślisz, że jesteście teraz okrutnie traktowani? Będziecie płakać, żebyśmy tutaj wrócili!

Sawyer pozostał nieugięty i niewzruszony. Arrin westchnął. Kiedy znów się odezwał, jego głos był spokojny, ale miał w sobie stalowy ton.

— Żal mi waszego barbarzyństwa, dopóki nie przypomnę sobie, że trwa ono nadal, jedynie z powodu waszej własnej dumy i głupoty. Gdybyście tylko wy, ludzie z Ziemi, chcieli razem z nami pracować… ale niech tak będzie. A teraz ostrzegam cię, Sawyer.

Zdawał się rosnąć, wysoki, ponury, obcy, rzecznik nieludzkich sił. Price poczuł, jak skóra na jego plecach robi się zimna, a brzuch skręcił mu się w dźgnięciu strachu.

Arrin oznajmił:

— Jeśli planujecie atak na Cytadelę, zapomnijcie o tym. Zabijemy was bez litości – nie dlatego, że chcemy, ale dlatego, że musimy…

Price usłyszał gwałtowny wdech stojących obok niego ludzi i nagle zrozumiał wiele rzeczy, których wcześniej nie pojmował.

Arrin wciąż mówił:

— Daję ci trzy dni na dostarczenie mi samolotu i człowieka, który nim latał. Jeśli tego nie zrobisz, będziemy zmuszeni zastosować ostrzejsze środki. Rozumiesz?

Sawyer odparł tonem równie zimnym jak Arrin:

— Czy to wszystko?

— Jeszcze jedno. Trzymaj myśliwych z dala od Pasa. To strefa wojskowa, a nie rezerwat zwierzyny. Wszelkie kolejne wtargnięcia będą uważane za potencjalną inwazję…

Twist ponownie wydał w ciemności ostry, ochrypły odgłos.

— …i zmienimy Pas w zniszczone pustkowie, na którym nie przeżyje nawet mysz ani chrząszcz. Pomyśl o tym, Sawyer.

Arrin odwrócił się i odszedł, dwaj mężczyźni i kobieta podążyli za nim. Price obserwował ciemnoszkarłatną postać z jasnymi włosami, dopóki nie zniknęła mu z oczu, i nagle zaświtało mu w głowie, jak gdyby między tymi dwiema rzeczami istniał jakiś związek, że żyje i znalazł się w tym szalonym świecie Sawyerów, Cytadeli oraz najeźdźców z gwiazd, że teraz jest to jego rzeczywistość i lepiej by było, aby się obudził i zaczął się z nią zmagać, albo zginie – i śmierć będzie czymś prawdziwym, a nie czymś ze snu.

Aerodyna wystartowała ze skowytem i wizgiem. Tłum na placu zaczął się rozchodzić. Sawyer odwrócił się i poszedł do domu, a ważniejsi i mniej ważni wodzowie, podążyli za nim.

Burr otworzył okiennice i do dusznego pokoju wszedł powiew świeżego powietrza, wraz z ostatnimi promieniami gasnącego słońca. Price popatrzył na swoich towarzyszy. Oni spoglądali na niego, ich oczy były ostre i wrogie.

— A więc to dlatego tak szaleliście za samolotem — powiedział. — Planujecie atak.

Burr rzucił z wściekłością:

— Powinieneś był pozwolić mi go zabić, kiedy chciałem to zrobić, Twist. Powinniśmy byli zostawić samolot tam, gdzie był. Wtedy nie nabraliby podejrzeń.

— Może i tak — stwierdził Twist i skinął głową. — Może i tak. Z drugiej strony, jeśli on mówi prawdę, może to mieć olbrzymie znaczenie.

Na schodach na poddasze rozległ się stukot, po stopniach wbiegł jakiś człowiek. Wszedł i skinął głową Burrowi i Twistowi.

— Sawyer kazał, żebyście sprowadzili więźnia na dół… i pospieszcie się!

ROZDZIAŁ V

Sawyer stał pośrodku pomieszczenia, rozmawiając pośpiesznie z wodzami Indiany i Illinois. Wódz Indiany był stary, gruby i leniwy, ale

wódz Illinois – młody, miał ciężką szczękę i bystre oko, był typem człowieka, który urodził się podejrzliwy i nigdy mu to nie minęło.

Sawyer odwrócił się i popatrzył na Price'a. Był skupiony i skoncentrowany – człowiek stojący na krawędzi wielkich wydarzeń, w tym kluczowym momencie, w którym wciąż może wybrać, czy wykonać swój ruch, czy się wycofać. Price zniósł jego wzrok spokojnie, a nie było to łatwe, gdyż oczy tego twardego starca zdawały się obnażać wszystko co było w jego duszy.

— Ale nie możesz zabrać go *tam* — powiedział gwałtownie szef Illinois, patrząc także na Price'a. — To największy sekret na Ziemi, a jeśli on jest szpiegiem…

— Jeśli jest szpiegiem — przerwał mu ostro Sawyer — to nie dożyje tego, by móc opowiedzieć, co tam zobaczył.

Przemówił do Price'a.

— Wyruszamy w podróż. Ty też jedziesz. A wy dwaj… — powiedział do Burra i Twista — będziecie go pilnować.

Burr i Twist skinęli w milczeniu głowami i wzięli broń. Karabin i rewolwer Price’a zostały przekazane Sawyerowi aby je bezpiecznie ukrył, a te strzelby były prymitywnymi, krótkodystansowymi manualnie przeładowywanymi, półautomatycznymi karabinkami ręcznej roboty.

Price odparł:

— To paskudny sposób traktowania człowieka, który przychodzi do was jako przyjaciel. Nienawidzę Vurna tak samo jak i wy, za to, co zrobili Ziemi i…

Sawyer powstrzymał go, rzucając złowieszczo:

— Zachowaj swoje słowa na później, przydadzą ci się jeszcze. Czeka nas trudna jazda, do rana. Chodźmy.

Wszyscy wyszli tylnymi drzwiami, z wyjątkiem starego wodza Indiany, który nie jechał z nimi. W półmroku na dworze czekały gotowe konie.

Kawalkadę prowadzili Sawyer i Oakes z Illinois, a Price jechał za nimi mając przed sobą Burra i za sobą Twista. Jeden człowiek jechał przed całą grupą z latarnią, która świeciła w dół, nie w górę. Latające oczy obserwowały również w nocy.

Sześć koni jechało przez całą noc równym tempem, jednym rzędem, po wąskiej ścieżce, która wznosiła się, opadała i wiła się przez las. Price był pewien, z tego, co podsłuchał, że zmierzają w kierunku miejsca jakiejś wielkiej tajnej rady. Domyślał się, że tam rozstrzygną się jego losy i prawdopodobnie losy reszty ludzkości.

Nie mógł nic na to poradzić, dopóki tam nie dotarł. W międzyczasie rozmyślał o wysokiej dziewczynie w szkarłacie, z jasnymi włosami kołyszącymi się na ramionach, kiedy szła. Żałował, że nie mógł dokładniej przyjrzeć się jej twarzy. Wydawała się piękna, czyste czoło i delikatny podbródek, ale to oczy mówiły, kim jest dana osoba, a on nie był w stanie ich przestudiować. Czy mogła być tak bezduszna, jak musieli być wszyscy Vurna?

Pomyślał, że pewnie musiała. Jego nienawiść do zdobywców, Gwiezdnych Panów, gwałtownie rosła. Zanim przybyli na Ziemię, ten ciemny, dziki las, przez który teraz jechał, były to bogate pola uprawne i

ładne miasteczka. A kiedy zniszczyli to wszystko i zbudowali Cytadelę, aby utrzymać zrujnowaną Ziemię w posłuszeństwie, próbowali skłonić ludzi by chętniej przyjmowali swą niewolę, opowiadając im tę historyjkę o Ei. To była stara technika Wielkiego Kłamstwa, ale to kłamstwo było zbyt ogromne, by ktokolwiek mógł w nie uwierzyć.

Kobieta może nie była okrutna. Arrin mógł być tylko przyzwoitym oficerem w trudnej sytuacji. Ale pomimo wszystko byli to kosmici, grabieżcy Ziemi, a on był Ziemianinem. Sawyer, Burr, Twist, a nawet nienawistny i podejrzliwy Oakes – to byli jego rodacy. To byli ci, dla których i u boku których będzie walczył.

Jeżeli mu pozwolą.

Ale musieli mu pozwolić. Był człowiekiem z samolotem. I kiedy jechał znużony przez ciemność, wydawało mu się, że zna argumenty, jakich powinien użyć.

Tuż przed świtem, kiedy świat jest najczarniejszy i najcichszy, w lesie przed nami rozległo się wywołanie, a człowiek z latarnią odpowiedział na nie. Tu i tam, wśród drzew, migotały inne osłonięte latarnie, rozproszone na szerokim terenie, a lasy pełne były cichych odgłosów, skrzypienia skóry i brzęku łańcuszków uprzęży, miękkiego tupotu kopyt, sennego parskania pikietujących koni. Ludzie, którzy tam byli, rozmawiali ściszonymi głosami.

Grupa Price'a zsiadła z koni i szła cicho wśród linii pikiet. Po kilku chwilach dotarli na skraj lasu. Człowiek z latarnią gwizdnął cicho, a z ciemności przed nimi zmaterializował się inny mężczyzna.

— Tędy — powiedział. — I uważajcie na stopy.

Człowiek z latarnią ruszył za nowoprzybyłym, pozostali szli za nim gęsiego. Price zaczął dostrzegać, że ciemności nie były tak puste, jak wcześniej sądził. Widać było blade obszary, które odbijały słabe światło gwiazd, na płaskich, pozałamywanych powierzchniach. Po chwili zdał sobie sprawę, że to były ściany, a przynajmniej kiedyś nimi były, i że idzie po strzaskanych kawałkach miejskiej ulicy. Dotyk ziarnistego betonu był niewątpliwie wyczuwalny.

Pokonali dość długą drogę, najwyraźniej jakimś znanym przejściem przez zrujnowane miasto, a niebo zaczęło blednąć, zanim dotarli do celu. Price mógł teraz dojrzeć wyłaniające się upiorne fronty budynków po obu stronach ulicy, wysokie fronty, za którymi nic nie było, tak że otwory okienne wyglądały jak coś w rodzaju wyrafinowanych kart perforowanych. Wszędzie panowała śmiertelna cisza, było tak cicho, że ich własne oddechy i ukradkowe szuranie stóp, budziły ukradkowe echa na kamieniach.

Ich przewodnik zatrzymał się obok małej czarnej dziury, która nie różniła się od wszystkich innych małych czarnych dziur, czających się pod zawalonymi murami i wygiętymi dźwigarami.

— Tam, na dole — oznajmił i ich zostawił.

Zeszli po szerokich stalowych schodach, powyginanych i poskręcanych, ale w większej części nietkniętych. Po schodach na spotkanie im wylewała

się ogromna fala ciepła od ciasno upakowanych i parujących ludzi, zmieszana z zapachem smaru do świec, dymu, skóry, potu i utrzymującego się odoru koni.

U dołu schodów było względnie jasno. Price wiedział, że znajdowali się w piwnicy czegoś, co niegdyś było budynkiem publicznym lub domem towarowym, w przestrzeni ograniczonej przez masę gruzu i wiszącej stali, w miejscu gdzie część budynku się zawaliła.

Pomieszczenie wypełnione było ludźmi, a ich głosy mruczały w tej niskiej zamkniętej przestrzeni, jak warkot wielkiego zwierzęcia zbyt długo zamkniętego w klatce.

Niewielka grupa ludzi siedziała nieco z boku, i Sawyer dołączył do nich z Oakesem. Wodzowie, pomyślał Price i zdał sobie sprawę, że jest to rzeczywiście bardzo duża rada i musiała być zaplanowana z ogromnym wyprzedzeniem czasowym. Burr i Twist stali blisko po obu jego stronach, ale on na chwilę o nich zapomniał, rozglądając się z fascynacją po tych swoich rodakach.

Mieszkańcy lasu i myśliwi, jak Burr i Twist, w przetłuszczonych jelenich skórach. Ludzie z dolnego biegu rzeki, z bagien i moczarów, o miękkich głosach, twardych dłoniach, ubrani w szorstką bawełnę ufarbowaną w jaskrawe indiańskie kolory, żółcie, czerwienie i zielenie. Chudzi farmerzy z gór, w samodziałach utkanych na hikorowych krosnach, z karabinami w ręku. Wioślarze z północnych jezior, lekko pachnący rybami, i wysocy, szczupli jeźdźcy z południowego zachodu, w skórzanych skórach, niebezpieczni jak grzechotniki. Ludzie z czarnych ziem kukurydzy w stanie Iowa, podążający za swoim wodzem, by rozmawiać o wojnie. Ameryka, pomyślał Price, w zasadzie niezmieniona, w zasadzie rozpoznawalna, ale ze zdartym z niej całym tłuszczem i odarta z luksusów; sprowadzona do surowości i siły dawnych dni, kiedy tacy ludzie stworzyli na dzikich terytoriach naród.

Miał wrażenie, że mogą to zrobić ponownie, pomimo przytłaczającej potęgi Gwiezdnych Panów. A jeżeli nie dadzą rady, to będą walczyli jak dzikie koty, do końca.

Wodzowie rozmawiali między sobą. Twist znał niektórych z nich, przywódców Iowów, Michiganów, Arkansas, Mississippi. Innych, których mogli odgadnąć, Nebraska, Teksas, Oklahoma, Luizjana. Dwaj myśliwi z Missouri byli tak podekscytowani jak psy przed polowaniem. Twist stwierdził, że za jego pamięci nigdy nie było tak wielkiej rady. Miała trwać aż do rozstrzygnięcia sprawy, ludzie mieli ukrywać się w ruinach, konie były schowane w okolicznych lasach.

Price nagle zdał sobie sprawę, że zebrani wodzowie patrzą na niego z intensywnym i przeważnie nieprzyjaznym zainteresowaniem. Wiadomości od Sawyera wyraźnie bardzo ich zaniepokoiły. Wódz Michiganów, wielki, czarnobrody mężczyzna o potężnym głosie, ryknął nagle, prosząc o spokój. W ciągu kilku sekund w pomieszczeniu zapanowała absolutna

cisza, z wyjątkiem szmeru ludzi zbliżających się, by trochę lepiej zobaczyć i usłyszeć, co się dzieje.

— Sawyer z Missouri ma wam coś do powiedzenia — krzyknął Michigan. — Słuchajcie uważnie. Ponieważ to, co ma do powiedzenia, będzie miało znaczący wpływ na to, czy będziemy walczyć, czy zachowamy pokój.

Rozległ się zdumiony i wściekły ryk. Michigan wskoczył na prowizoryczną trybunę i zaczął na nich przeklinać, aż ucichli.

— Potem sobie powyjecie — powiedział. — To nie jest jakaś zachcianka ze strony Sawyera. Coś się stało. Zamknijcie się i słuchajcie.

Teraz poczuli niepokój i niepewność. Patrzyli, jak Sawyer wspina się na trybunę, w zadymionym świetle ich twarze połyskiwały ciemnobrązowo, a oczy błyszczały.

Sawyer polecił:

— Twist – podejdź tutaj.

Twist przepchnął się do trybuny i wszedł na nią. Burr zbliżył się do Price'a, jego dłoń zacisnęła się lekko na rękojeści noża za pasem.

Sawyer powiedział:

— Opowiedz im wszystko.

Zupełnie swobodnie, świadomy swojego znaczenia, ale nie będąc nim przytłoczony, Twist opowiedział historię lądowania samolotu Price'a w Zakazanym Pasie i tego, co się potem z nimi działo. Przekazywał tylko proste fakty, skrupulatnie unikając wszelkich prób kaptowania swoich słuchaczy dla Price’a lub przeciwko niemu.

Te proste fakty zupełnie wystarczały. Słuchali ich ludzie znad Wielkich Jezior i z południowych moczarów, jeźdźcy z równin, górale, myśliwi i rolnicy, a ich reakcje, po pierwszym wstrząsie pełnego niedowierzania zdumienia, były różnorodne i cudowne. Twist musiał przerwać, aby zgiełk ucichł, a kiedy znów mogli go usłyszeć, powiedział:

— Tak, wszystko było dokładnie tak, jak powiedziałem, jest samolot i ja nim leciałem. Nie jeden z tych świszczących lataczy, ale samolot – tak. — Wykonał rękoma ilustracyjną pantomimę i niezwykle dokładnie odtworzył dźwięk silnika. — Teraz wydaje mi się, że to wszystko — powiedział i cofnął się.

Sawyer powiedział, a jego słowa wyraźnie dotarły do najdalej nawet stojących słuchaczy:

— Vurna wywrócili nasze ziemie do góry nogami, aby znaleźć ten samolot. Nie znaleźli go. Ostatniego wieczora Arrin… — imię przywitano to wściekłym pomrukiem, a więc najwyraźniej było dobrze im znane — …Arrin dał mi trzy dni na oddanie samolotu i człowieka, który nim latał. A ja, zamiast tego, przywiozłem go tutaj.

Uniósł ręce, by stłumić narastającą wrzawę.

— Posłuchajcie! Jeszcze nie skończyłem. Arrin miał mi jeszcze coś do powiedzenia. Powiedział, że jeśli planujemy atak na Cytadelę, mamy o tym zapomnieć. Powiedział: Zabijemy was bez litości.

— A teraz — zakończył Sawyer — oto, co musimy zdecydować. Dwie rzeczy. Czy ten człowiek, Price jest przyjacielem oferującym nam broń, czy szpiegiem Vurna, który przynosi nam śmierć? To wielkie pytania,

największe, na jakie będziecie musieli sobie odpowiedzieć w swoim życiu. Nie podchodźcie do nich jak nierozważni chłopcy, wyłącznie z uczuciami i bez rozumu.

W odpowiedzi zagrzmiał Michigan:

— To są dobre słowa. Zważcie na nie. A teraz, niech ten człowiek stanie tu na górze.

Burr popchnął Price'a.

— To do ciebie.

Price przepchnął się przez tłum i wspiął się na trybunę. Kiedy to robił, Twist szepnął mu do ucha:

— Lepiej załatw to dobrze, chłopcze. Nie będziesz miał kolejnej szansy.

Jego głos brzmiał przyjaźnie. Price był z tego zadowolony.

Stanął na podium i obrócił się twarzą w twarz z wodzami i przedstawicielami ludu.

Michigan oznajmił:

— Opowiedz swoją wersję. I mów tak, żeby wszyscy mogli ją usłyszeć.

Price odezwał się głośno. Ale powiedział:

— Jaki będzie z tego pożytek? Opowiedziałem swoją wersję już kilkanaście razy i nikt mi nie wierzy. — Popatrzył na ciasny krąg ludzi. — Gdybym wiedział, że tak mnie potraktujecie, rozwaliłbym samolot i zostawiłbym go kojotom.

— Nic się nie zmieniło — powiedział Michigan, — opowiedz ją po raz kolejny.

Price opowiedział ją.

— Nie wiedziałem, że planujecie coś szczególnego: po prostu wydawało się oczywiste, że samolot może wam się kiedyś przydać, wcześniej czy później, a tam, gdzie był, nie mógł posłużyć do niczego dobrego. — Nauczył się tej historii tak starannie, że sama już zaczynała wydawać mu się prawdą, wzbogacana o drobne ozdóbki i hafty. — Przywiozłem wam też broń, lepszą niż cokolwiek, co macie. I czy ktoś powiedział mi: „Dziękuję”?

Niski, zwierzęcy pomruk ze strony słuchaczy. Ich twarze były twarde jak wykute z krzemienia.

Price krzyknął:

— Czy Vurna tak bardzo chcieliby mnie odzyskać, gdyby właśnie wysłali mnie do was jako szpiega? Słyszeliście przecież słowa Sawyera.

Wódz Luizjany zauważył:

— To byłaby bardzo sprytna sztuczka, gdyby tak powiedzieli, właśnie z tego powodu.

— A jak to się stało — zawołał wódz Arkansas — że w chwili, gdy się pojawiasz, od razu Arrin mówi o ataku na Cytadelę? Czy to nie dowodzi, że coś wiedzą i chcą się dowiedzieć więcej?

— Można by pomyśleć, że to oczywiste — odparł Price. — Od dwóch pokoleń w powietrzu nie było żadnego samolotu. Nagle pojawia się. Czy Vurna nie chcieliby dowiedzieć się, skąd go macie i czy nie budujecie

kolejnych, podobnych do niego? A czy nie sądzicie, że mogli dojść do wniosku, że z taką bronią planujecie jakiś atak na nich?

To był głos zdrowego rozsądku i przemyśleli go, mrucząc między sobą. Price poczuł, że dokądś zmierza, i układał swoje słowa na ostatnie argumenty. Wtedy przemówił wódz Oklahomów i stwierdził:

— Ja bym głosował za zabiciem tego człowieka i przekazaniem jego ciała oraz samolotu, Arrinowi. W ten sposób zastosujemy się do jego żądania, ale on nie odniesie z tego żadnej korzyści. Arrin nie będzie wiedział niczego więcej, niż na początku, a my będziemy wyglądać na niewinnych. Sprawimy wrażenie, jakby samolot miał do niczego się nam nie przydać. A kiedy odwrócą się do nas plecami, będziemy postępować dalej, tak jak planowaliśmy od początku.

I to brzmiało naprawdę dobrze, nawet dla Price'a. Zwłaszcza, że wiedział więcej niż ktokolwiek z nich o względnej użyteczności jednego Beechcrafta jako broni przeciwko siłom, którymi dysponowali Gwiezdni Panowie.

Jednak wiedział również, że jeśli zaczną myśleć rozsądnie, to on jest skończony. Więc przekonywał:

— Słuchajcie, wy potrzebujecie tego samolotu. Może przeprowadzać rozpoznanie, może przenosić bomby…

— Zamknij się — przerwał mu ktoś gwałtownie. — Zamknijcie się wszyscy. Coś słyszę.

Uciszyli się i nasłuchiwali. Price nie słyszał niczego poza pełnymi napięcia oddechami wielu ludzi. Potem po drugiej stronie pomieszczenia, najpierw jeden człowiek, a potem kilku kolejnych, zaczęli grzebać jak psy za królikiem, w spiętrzonym gruzowisku.

— Tutaj jest! Tutaj jest – patrzcie!

— Co to jest? Zobaczmy.

— Nie ma niczego poza małym pudełeczkiem…

— Nie! To jedno z ich urządzeń! Przepuście mnie!

Przez tłum przecisnął się mężczyzna w lnianej zielono-żółtej koszuli, trzymając w jednej ręce coś wysoko nad głową. Położył to na trybunie, gdzie leżało, brzęcząc delikatnie.

— Czy to należy do Vurna, czy nie?

Wszyscy cofali się i odsuwali od leżącego przedmiotu, jakby obawiając się, że może on eksplodować. Było to małe metalowe pudełeczko nie większe od papierośnicy, ale Price wiedział, co to takiego. Zrobił krok do przodu i zmiażdżył urządzenie stopą.

— Lepiej się stąd wynoście — powiedział. — I to szybko. To był nadajnik radiowy, nadający stały sygnał naprowadzający, aby sprowadzić tutaj Vurna.

Nastąpiła pełna oszołomienia chwila absolutnej ciszy, a potem całe to miejsce wybuchło dźwiękiem i ruchem. Pośrodku tego wszystkiego, w samym jego sercu, wódz Michiganów i człowiek w lnianej koszuli wpadli na ten sam pomysł. Krzycząc „Szpieg!", rzucili się na Price'a z wyciągniętymi nożami.

Przypominając sobie sztuczkę lub dwie, których nauczyła go armia, Price wszedł w rytm szybkich ruchów wodza, złapał go za nadgarstek i rzucił na drugiego, którego spowolniła konieczność wspięcia się na trybunę. Jednocześnie Price krzyczał do nich wściekle,

— Oszaleliście? Nawet nie byłem w tamtej części pomieszczenia. Nie przyniosłem tego i nie podłożyłem tutaj.

Twist stanął między nim a dwoma ludźmi, wyciągając własny nóż.

— Nie było go tam, i to jest fakt. Poza tym…

— Zejdź mi z drogi! — zaryczał Michigan.

Niespodziewanie poderwał się Burr i go odciągnął.

— Byłem tak blisko niego jak jego własna skóra, przez cały czas — oświadczył. — Nie poruszył się i nie miał przy sobie niczego, co mógłby podrzucić, nawet gdyby chciał.

— Przeszukaliśmy go — dorzucił Twist — kilka dni temu. Osobiście.

— Więc wy też jesteście zdrajcami — oznajmił Michigan, kurczowo trzymając się swojego jedynego pomysłu. Znowu zaczął szarżować, a teraz na trybunę wpadli też inni, wołając o krew Price'a.

Sawyer poruszał się jak wielki kot. Michigan zatrzymał się w pół kroku, ostrze noża Sawyera dotykało żeber na jego sercu.

— To są moi ludzie — zauważył łagodnie Sawyer. — Nie lubię, gdy kwestionuje się ich lojalność, nie mniej niż oni.

Price pochylił się i wyrwał komuś karabin z rąk. Chwycił go jak pałkę i zaczął nim obracać, strącając ludzi jak szpilki z krawędzi trybuny.

— Wynoście się stąd, głupcy! — wył na nich. — Czy nic nie jest w stanie przebić się przez wasze grube czaszki? Nadchodzą Vurna. Wynoście się stąd!

Wielu z nich już wylewało się po schodach. Teraz coraz więcej osób podjęło jego krzyk, jakby nagle zrozumiało, że czyjaś zdrada uczyniła z tego miejsca pułapkę. Sawyer powiedział do szefa Michiganów:

— No dalej, wsadź tę swoją gorącą głowę do jeziora i schłódź ją. Pospiesz się, zanim cię dorwą.

Michigan parsknął jak wściekły byk, ale odwrócił się i skoczył w tłum. Mężczyzna w lnianej koszuli również zniknął. Price już miał ruszyć za nim, gdy zobaczył wysuniętą do góry lufę karabinu, połyskującą ciemnym kolorem, w świetle lampy. Krzyknął do Burra i Twista, żeby ich pilnowali, a potem rzucił się na Sawyera. Strzał zabrzmiał oszałamiającym hukiem w tej zamkniętej przestrzeni. Usłyszał, jak pocisk przelatuje ze świstem nad ich głowami, a potem odbija się od niskiego betonowego dachu. Ktoś po drugiej stronie pomieszczenia krzyknął z wściekłości i z bólu.

— Dziękuję ci — powiedział Sawyer — a teraz lepiej zejdźmy z tej przeklętej tarczy strzelniczej.

Ruszyli, cała czwórka trzymała się blisko siebie. Price nie widział nigdzie Oakesa ani człowieka, który niósł ich latarnię. Większość świateł zgasła, przewrócona i zdeptana. Ciemna fala uciekających ludzi zaniosła ich na schody i na zewnątrz budynku, na pełne, oślepiające światło dnia.

Ktoś wskazał na niebo i krzyknął:

— Tam nadlatują – Vurna!

ROZDZIAŁ VI

Byli wciąż jeszcze daleko, ale zbliżali się szybko, z wizgiem mknąc po niebie. Price zdołał zauważyć kilkanaście jasnych lśniących kropek na niebieskim tle. Sawyer powiedział:

— Lepiej uciekajmy przed nimi!

Uciekali krętą ścieżką przez ruiny. Wszędzie wokół nich, z przodu i z tyłu, biegli inni ludzie, śmigając jak dzikie stworzenia, między cieniami strzaskanych ścian.

A kiedyś to było ich miasto, pomyślał Price. Miejsce pełne ulic i domów, szkół i kościołów, dobre miejsce, zbudowane przez długie lata nadziei i wysiłków. Jakie prawo mieli Vurna, żeby je zniszczyć?

Popatrzył na latacze. Były coraz większe, poruszały się szybko nad postrzępionymi resztkami murów, które w gorącym letnim słońcu świeciły jaskrawą bielą. Opuścił wzrok i wszędzie dokoła rozciągało się rumowisko. Uciekał przez nie, skacząc i potykając się o odłamki miasta, ścigany jak reszta.

Sawyer machnął szczupłą ręką w rozkazującym geście.

— Kryć się!

Uskoczyli w szczeliny w niezidentyfikowanej masie gruzów, do połowy zarośnięte pnączami i rzadką trawą. Stare cegły chwiały się i groziły zawaleniem ścian, gdy przeciskali się między nimi. Upadli, dysząc, i słuchali lataczy Vurna.

— Złamali formację — powiedział Price. Już od pewnego czasu nasłuchiwał wrogich statków. — Rozproszyli się. Będą przeczesywać teren w tą i z powrotem…

Tuż obok nich z hukiem i wielkim obłokiem białego pyłu zawalił się fragment ściany. Odskoczyli do tyłu, a Sawyer powiedział:

— To dla nich jak wskazówka, gdzie jesteśmy. Uciekamy stąd.

Wybiegli, nisko przykuleni, biegnąc po spustoszonych ulicach, po których w pokoju chodzili ich dziadkowie. Price widział w oddali zielony las, ale powietrze było wypełnione potężnym wizgiem szukających ich aerodyn i nie sądził, żeby udało im się do niego dostać. Miał rację.

Jeden ze statków pomknął w dół i zawisł przed nimi trzy stopy nad ziemią, a drugi opadł z tyłu. Sawyer skręcił w prawo. Opadł trzeci statek. Skręcił w lewo. Zablokował go czwarty. Zatrzymał się w miejscu, gdzie stał, zbyt dumny by szukać dalej ucieczki, w sytuacji gdy wiedział, że jej nie ma. Burr i Twist stanęli z nim. Wszyscy trzej unieśli karabiny i przygotowali się na śmierć.

Price nie miał w ręku broni. Jasne, unoszące się w powietrzu statki, kpiły z niego, panował ogłuszający hałas, wiatr podmuchów ich silników szarpał go z zaciekłą siłą. Nienawidził ich. Jeszcze nigdy w życiu nikogo

tak bardzo nie nienawidził, nawet wroga, z którym walczył w Korei. Szperał po omacku wśród śmieci u swych stóp, na wpół oślepiony kurzem i czerwoną mgiełką, która była już jego własnym wytworem.

Z jednego ze statków przemówił do nich bardzo głośny metaliczny głos.

— Odłóżcie broń i stańcie razem z podniesionymi rękami. Nie doznacie krzywdy.

Sawyer roześmiał się. Przycisnął karabin do ramienia i wystrzelił. Pocisk rozpłaszczył się na poszyciu aerodyny i upadł na ziemię.

— Odłóżcie broń i stańcie razem. Liczymy do sześciu. Potem zaczniemy strzelać. Sześć. Pięć. Cztery.

Sawyer położył strzelbę w pyle u swoich stóp i wyprostował się, składając ręce. Twist i Burr zrobili tak samo. W oczach Burra pojawiły się łzy, łzy wściekłości.

A to było ich miasto, pomyślał Price. Moje miasto. Nasze.

Z unoszących się tuż nad ziemią aerodyn zaczęli teraz wyskakiwać ludzie, Vurna z krótko obciętymi srebrzystymi włosami. Mieli na sobie ciemnozielone mundury. To nie było ich miasto, to nie był ich planeta. Palce Price'a zacisnęły się na końcu wystającego ze śmietniska kawałka żelaznego zbrojenia.

Rzucił się do przodu, trzymając w ręku żelazny pręt.

Z najbliższego statku rozbłysnął snop zimnego światła, ledwie widoczny w świetle słońca. W jednej chwili Price biegł, a następnej już nie, leżał na ziemi twarzą do dołu, z białym pyłem we włosach. Pręt wypadł mu z ręki i upadł z cichym stukotem koło niego.

Vurna otoczyli ich ze wszystkich stron. Odprowadzili pod strażą Sawyera, Burra i Twista, każdego z nich do innego ze statków. Dwóch ubranych na zielono żołnierzy pochyliło się, podniosło Price'a i zaniosło go do czwartego. Sami również weszli do środka i aerodyny uniosły się ze świstem w powietrze.

Nad miejscem, z którego uciekli Ziemianie, mniej więcej w centrum miasta, zebrało się kilka statków. Krążyły powoli, ale na ulicach nie było widać żadnego ruchu. W końcu wszystkie, oprócz jednego, uniosły się, zaś ten ostatni wysłał ze swego podbrzusza serię krótkich błyskawic. W dole wybuchł jakby wulkan, zagrzmiał, zapłonął i zgasł, rozpadając się w proch i w pył. To miejsce zebrania nigdy nie zostanie już użyte ponownie, nie będzie też można wykorzystać żadnych ukrytych w nim zapasów broni lub prochu.

Statki Vurna pomknęły na wschód. Za nimi pozostał las pełen ludzi i koni, oddalających się od miasta.

Po chwili Price'owi powróciła mglista i zdezorientowana świadomość. Otworzył oczy i zobaczył plamę czerwieni, srebra i cielistych odcieni. Nieco później otworzył je ponownie i zamazana plama zmieniła się w kobietę o srebrnych włosach i ciemnoszkarłatnym mundurze.

Tę kobietę.

Oznajmiła:
— Za mniej więcej godzinę poczujesz się znowu normalnie. Promienie wstrząsowe nie powodują trwałych uszkodzeń.
Popatrzył na nią, nie dbając zbytnio o to, jak się będzie czuł za godzinę. Czuł przyjemną ospałość, zapomniał o swoich troskach. Jej oczy miały dziwny kolor, zupełnie nie przypominały oczu kobiet z Ziemi. Były jak małe skrawki nieba, pełne księżycowej poświaty i odległego ognia gwiazd, chłodne, dziwne i urocze. Powiedział:
— Pomimo wszystko, nie są jednak okrutne.
— O czym ty mówisz?
— O twoich oczach. Są piękne. Tak jak ty.
Na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec. Ale tylko spytała:
— Jak się nazywasz?
Powiedział jej, a ona to zapisała. Zobaczył teraz, że trzyma na kolanach coś w rodzaju notatnika. Tuż za nią znajdowało się okno kabiny. Wstęgi rozdzieranych chmur wirowały w nim tak szybko, że był aż zaskoczony. Potem jego zmysły zaczęły rejestrować również i inne rzeczy, wizg powietrza, płynne zmiany prędkości. Usiadł.
Mężczyzna obok pilota odwrócił się gwałtownie, sięgając po broń u pasa. Kobieta przemówiła do niego w ich własnym języku, a następnie powiedziała Priceowi:
— Nie chcemy cię ponownie ogłuszać. Nie sprawisz, że będzie to konieczne?
— Nie — odparł Price. Nachylił się do przodu, wpatrując się z fascynacją w stery aerodyny i obserwując ruchy pilota.
— Jesteś zainteresowany? Jako pilot?
— Tak. — Stery wydawały się być zaskakująco proste. Te sterowały siłą przepływu powietrza, te kątem odrzutu… — Jest o wiele bardziej zwrotny niż odrzutowiec i ma o wiele większą moc niż jakikolwiek śmigłowiec. Ja…
Zamknął usta, nagle uświadamiając sobie, że popełnił paskudny błąd. Ale kobieta najwyraźniej tego nie zauważyła. Zapytał ją pospiesznie, zmieniając temat:
— Jak masz na imię?
— Linna — odparła. — Z Vrain Cztery. To planeta gwiazdy, o której nigdy nie słyszałeś, w Gromadzie Herkulesa. Mam kilka innych identyfikujących słów, nazwisko bardzo podobnie do twojego i zestaw numerów kodowych, takich jakie były używane również na tej planecie.
— Wydaje się, że dużo o nas wiesz, jak na dziewczynę z... hm... Vrain Cztery.
— To moja sprawa. Jestem specjalistką od kultur Ziemi. Sekcja 7-Y, Techniki Społeczne. Gdzie jest twój dom?
Była przyjazna, niemalże za bardzo. Price był teraz bardzo ostrożny, jego umysł otrząsał się z letargu wywołanego wstrząsem.
— W Nevadzie.
Zapisała w notatniku, jakimś skrótem.
— Nigdy nie byłam tak daleko na zachodzie. Jaka jest Nevada?

Opowiedział jej, nie wspominając o miastach. Aerodyna pędziła naprzód, a on pilnie obserwował jej stery. Takie proste. Takie piękne, funkcjonalnie proste. Jego palce drgnęły z niecierpliwości.

— Dużo latałeś?

— Mój ojciec mnie nauczył. — Ostrożnie, pomyślał Price. Ci obcy prawdopodobnie nie są bystrzejsi ani sprytniejsi od naszych, ale lepiej potrafią badać i sprawdzać różne rzeczy. — Powiedz mi, jak to jest na Vrain Cztery?

— Jemy i śpimy, kochamy się i umieramy — odparła nieco wymijająco, — bardzo podobnie jak i wy. Niebo nocą jest bardzo piękne. Gwiazdy są blisko i płoną gorącym ogniem, a nie zimne i dalekie jak u was.

Przerwała.

— A gdzie twój ojciec nauczył się latać?

— Od swojego ojca. To rodzinna tradycja.

— A samolot należał do waszej rodziny, odkąd Ei zniszczyli cywilizacje atomowe waszej Ziemi, w 1979 roku?

— Odkąd Vurna je zniszczyli… tak.

Nie kwestionowała tej uwagi.

— Ile lat miał wtedy samolot?

Podstępne małe pytanie, zadane cichym, spokojnym tonem. Do czego ona zmierzała? Price zaczął czuć, że znalazł się w pułapce, ale nie do końca był w stanie dostrzec jej kształty. Potem, zanim został zmuszony do udzielenia odpowiedzi, która równie dobrze mogła być niewłaściwa, zobaczył coś, co dało mu doskonałą wymówkę, by je zignorować.

To, co znajdowało się przed jego oczyma, był to statek kosmiczny.

Nigdy w życiu nie widział statku kosmicznego, ale wiedział, że nie może to być nic innego. Ocenił, że musieli znaleźć się już z powrotem za rzeką i wlecieć na sporą odległość w Zakazany Pas. Statek stał jak wieża z białego metalu, ogromna, smukła, pozornie delikatna, twór emanujący uśpioną mocą, która chwytała za gardło z podziwem i zachwytem. W pobliżu nie było żadnych drzew, a ziemia pod nim była stopiona i utwardzona, zmieniając się w substancję trwalszą niż żelazo czy beton.

Linna powiedziała:

— To jeden z powodów, dla których nie chcemy aby ludzie znajdowali się w Pasie. Istnieje niebezpieczeństwo, że zostaną złapani podczas startu lub lądowania.

Aerodyna przemknęła obok statku i Price oglądał się za siebie tak długo, jak tylko mógł, spoglądając na malejący kształt, wspaniały, ale dziwnie samotny w środku pustkowia.

— Myślałem, że macie port, w pobliżu. Miałem na myśli Cytadelę.

Linna pokręciła głową.

— Rozproszenie zapewnia o wiele większe bezpieczeństwo. Dlatego pas jest taki duży. Mamy wiele statków.

Człowiek obok pilota odezwał się, a Linna dotknęła ramienia Price'a, wskazując do przodu.

— Za chwilę zobaczysz Cytadelę.

W pierwszej chwili zobaczył, żelazną powierzchnię migoczącą w dolnych warstwach powietrza, którą widział już kiedyś z samolotu. Rosła z fantastyczną szybkością, nabierając kształtów, nabierając wysokości i sensu. Price był przygotowany na coś niesamowitego. Mimo to patrzył na nią z szeroko otwartymi oczami i był równie mocno zdumiony jak każdy człowiek z plemion.

Cytadela wyrastała z równego, jałowego terenu, wyzutego ze wszystkiego co żywe. Była to okrągła, olbrzymia wieża o płaskim szczycie, oszałamiająca w swej surowej wielkości. W ogóle nie pasowała do Ziemi. Ta potworna góra z metalu, stworzona przez ludzi z gwiazd, należała do zupełnie innego świata.

Wokół niej, jak okiem sięgnąć, rozciągały się wyrzutnie rakiet, dla pocisków wyglądających na bardziej śmiercionośnie niż jakiekolwiek z ICBM-ów, które wymyślono za jego czasów. Na szczycie Cytadeli, na rozległej metalowej platformie stanowiącej jej dach, znajdowały się instalacje, wyglądające na radary, oraz jakieś inne, których przeznaczenia mógł się tylko domyślać – być może było to coś w rodzaju radioteleskopu o skomplikowanej siatce. Na całym obwodzie dachu, umieszczone zostały jakieś skryte pod osłonami stanowiska, spoglądające dookoła złowrogim spojrzeniem na Pas. Sprawiły one, że Price’owi od razu przyszło do głowy ostrzeżenie Arrina: zrobimy z Pasa kompletnie spustoszony, jałowy teren, na którym nie przeżyje nawet chrząszcz…

— Widzisz teraz, jaki to był bezradny plan — powiedziała Linna, cicho jakby echem, powtarzając jego myśli. — Ludzie z nożami i niewielkimi karabinami – szybko postradaliby życie.

Dawna złość powróciła do Price'a i ponuro rzucił:

— Linia Zygfryda też ponoć miała być nie do zdobycia.

Ale wiedział, że to ona ma rację, i patrzył w dół, upadając na duchu, gdy aerodyna zbliżała się do lądowiska na dachu. Jakże Ziemianie mogli mieć w ogóle nadzieję na zrzucenie ze swego karku nogi tego potężnego przeciwnika?

Zszedł na żelazną platformę, poruszając się wciąż trochę wolno i chwiejnie. Inne aerodyny opadały jedna po drugiej. Rozglądał się za Sawyerem, Burrem i Twistem, ale nigdzie ich nie zauważył. Strażnicy Vurna stali po obu stronach i Linna powiedziała:

— Wydaje mi się, że twoi przyjaciele już wylądowali i są z Arrinem na dole. Chodź ze mną.

Zaproszenie to stanowiło czystą figurę retoryczną. Nie miał żadnego wyboru. Strażnik skierował go w stronę kręgu wymalowanego jaskrawoczerwonym kolorem, przeznaczonego jako wskazówka dla pilotów, o średnicy około ośmiu stóp. Zapytał Linnę:

— Czy Arrin jest kimś naprawdę ważnym?

— Jest naczelnym dowódcą tej bazy. Widzisz, jak cenny dla nas jesteś – ty i twój samolot?

Stanęli wewnątrz czerwonego kręgu, który razem z nimi opadł gładko w dół lśniącego metalowego szybu. Nie zjechał zbyt daleko. Wyszli z niego na korytarz, jasno oświetlony lampami zatopionymi w nisko położonym suficie. Po obu stronach widać było mnóstwo drzwi, a Vurna w mundurach o różnych kolorach, chodzili tam i z powrotem.

Biuro naczelnego dowódcy było równie surowo urządzone i funkcjonalne, jak wszystko, co widział Price w Cytadeli. Wąskie okna ze stalowymi żaluzjami wyglądały na oświetlony słońcem Pas. Jedna ze ścian pokryta była labiryntem kabli, ekranów i pokręteł urządzeń komunikacyjnych, a na innej znajdowały się rzędy zakończeń rur, oznaczone różnokolorowymi tabliczkami. Arrin stał zwrócony do Sawyera, zaś Burr i Twist czekali za swoim wodzem. W pomieszczeniu znajdowało się ponadto kilku strażników. Kiedy Price wszedł z Linną, Sawyer właśnie mówił:

— Mówiłem ci, że nie oddam ani tego człowieka, ani samolotu. Jeśli chodzi o nasze spotkanie, twój płatny zdrajca może ci o nim wszystko opowiedzieć. A teraz śmiało możesz mnie zabić.

Arrin odparł ze zniecierpliwieniem:

— Ja nie chcę od ciebie twojego życia, ale jedynie odrobiny współpracy. — Popatrzył na Price'a, mrużąc oczy. — To ten człowiek?

Linna odezwała się do niego w języku Vurna. Na twarzy Arrina pojawił się wyraz zaskoczenia. Zapytał o coś Linnę. Tymczasem Sawyer powiedział do Price'a:

— Myśleliśmy, że cię zabili.

Price pokręcił głową. Martwił się tym, o czym Linna rozmawia z dowódcą. Po raz kolejny miał wrażenie otaczającej go pułapki, której nie potrafił dostrzec.

Arrin skinął krótko głową i wydał jakiś rozkaz strażnikom Price'a. Linna powiedziała do niego po angielsku:

— Masz pójść ze mną.

Price zaprotestował:

— Wolałbym zostać z przyjaciółmi.

— Może później.

Nie było sensu się spierać. Price poszedł tam, gdzie mu kazano. Na innym, znacznie niższym poziomie, który z tego co wiedział, mógł znajdować się już nawet pod powierzchnią ziemi, został wprowadzony do małej, schludnej, bezosobowej kabiny bez okna i z zamkiem po zewnętrznej stronie drzwi. Oczywiście, cela.

Linna oznajmiła:

— Poproszę o twoją koszulę.

Popatrzył na nią z niezrozumieniem.

— Co?

— Daj mi swoją koszulę.

Znowu nie było sensu z nią dyskutować. Zdjął koszulę i wręczył ją jej.

— Zapewnimy ci jedzenie i picie — powiedziała. — Będzie ci tu całkiem wygodnie.

Odeszła ze strażnikami. Bezpiecznie zamknięty w kabinie Price siedział i rozmyślał. Żywność i woda dostarczane były w opakowaniach przez szczelinę w ścianie. Jadł, pił i znów rozmyślał.

W końcu wróciła Linna. Podała mu koszulę i trzeźwym spojrzeniem obserwowała go, gdy ją wkładał. A potem odpaliła bombę.

— Okłamałeś mnie — stwierdziła cichym głosem. — Już wiemy, skąd pochodzisz.

ROZDZIAŁ VII

Price stał bez ruchu, odpowiadając spojrzeniem na jej. Ale jego myśli galopowały jak spłoszony jeleń. Jakim cudem nawet jakiś supernaukowiec Vurna mógłby odgadnąć jego niewiarygodne pochodzenie? To był przecież ślepy traf, przypadek, który nie zdarza się nawet raz na milion lat…

Linna mówiła dalej:

— Weźmy ten twój samolot. Choć był przestarzały jeśli chodzi o model, jego wyprodukowanie musiało wymagać szerokiej gamy warsztatów mechanicznych. A ubrania. Twoja koszula zrobiona jest z włókna syntetycznego, podobnie sztuczny jest barwnik. Tkanina została wyprodukowana maszynowo. No i wszystko jest nowe, nie są to relikwie zachowane przez stulecie.

Price'owi udało się utrzymać spokojny głos, gdy rzucił:

— A więc…

— A więc — weszła mu w słowo Linna — musi gdzieś istnieć jakaś ukryta społeczność, wystarczająco duża by utrzymać przy życiu dawne technologie twoich rodaków. Społeczność, o której nic nie wiedzieliśmy.

Patrzyła na niego z ogromnym triumfem, jakby odniosła jakieś wielkie zwycięstwo.

Price usiadł na wąskim łóżku. Poczuł histeryczne pragnienie, aby się roześmiać, ale tego nie zrobił. Zamiast tego odwrócił głowę od Linny, jakby chciał ukryć ogarniające go przerażenie, choć w rzeczywistości zadrżał, uświadamiając sobie nagle pewną rzecz.

Właśnie dała mu szansę, jeśli tylko zachowa głowę i dobrze to rozegra. Przy swojej całkowicie błędnej, choć dosyć naturalnej dedukcji co do jego pochodzenia, dała mu szansę na ucieczkę.

Źle odczytała jego milczenie.

— Dalsze kłamstwa nic ci nie pomogą. — Zadziwiające, że w jej głosie słychać było litość. Rozumiem teraz, co zamierzałeś. Chciałeś podzielić się wiedzą swojej społeczności z innymi plemionami, dać im nową broń w walce z nami. A teraz masz nadzieję, że nadal uda ci się zachować swoją tajemnicę, aby ktoś inny mógł odnieść sukces tam, gdzie tobie się nie udało. Wierz mi, Price, ja wszystko rozumiem

— Naprawdę? — rzucił gwałtownie.

— Tak — odparła twardszym głosem. — I lepiej niż ty rozumiem, co by się stało z waszą armią, gdyby zaatakowała nas uzbrojona w te żałosne małe samolociki, takie jak twój, i tylko nieco nowocześniejsze karabiny. — Szybko powiedziała coś do strażnika na zewnątrz, a potem warknęła na Price'a: — Chodź, chcę ci coś pokazać.

Wyprowadziła Price'a między ubranych na zielono strażników. Poszli dudniącym echem korytarzem bloku więziennego, do windy, którą jechali przez dłuższy czas do góry, a następnie pokonali kawałek drogi innym korytarzem by ostatecznie znaleźć się w średniej wielkości pomieszczeniu o okrągłym kształcie, całkowicie otoczonym podwójnym rzędem ekranów. Dolne ekrany prezentowały stały obraz terenu roztaczającego się w zasięgu wzroku, wokół samej Cytadeli. Na górnych ekranach widać było, zmieniające się, nieustannie przesuwające, widoki dalszych fragmentów Pasa, lasów i prerii, pasących się stad dzikiego bydła, jeleni podskakujących z uniesionymi w górę białymi ogonami, samotnych statków kosmicznych czekających na swych izolowanych polach startowych. Czterech ludzi w matowo-złotych mundurach obserwowało ekrany i kontrolowało szereg klikających rejestratorów. Pod każdym ekranem znajdował się zestaw przycisków.

— Widzisz, jakie mielibyście szanse na to by zbliżyć się po kryjomu do Cytadeli? A czy rozumiesz, co by się stało z waszą armią? Wystarczy, że jeden człowiek tutaj, dotknie tych przycisków odpalających, a cały Pas za murami, zmieni się w ciągu kilku sekund w jałową pustynię. Nic by nie pozostało przy życiu. Nic.

W oczach Linny widać było w tej chwili taką samą pełną niecierpliwości pogardę dla jego głupoty, jaką widział tam wcześniej, gdy Arrin rozmawiał na placu z Sawyerem.

— I tylko tak możesz im pomóc – w kompletnym samozniszczeniu.

Gdyby sytuacja wyglądała tak, jak to sobie wyobrażała, byłaby to prawda. Price pozwolił, by na jego twarzy pojawiły się posępne oznaki wątpliwości. Ale powiedział:

— A co z waszymi statkami kosmicznymi? Przecież byście ich nie zniszczyli.

— Mogą one wystartować na autopilocie i w mgnieniu oka znaleźć się z dala od niebezpieczeństwa. Och, na litość boską, Price, czy nie widzisz, że próbuję wam pomóc? Nie chcę, by wymordowano twoich rodaków. My, Vurna, nie chcemy ich wyrzynać. Ale jeśli będziecie się upierać, by tłuc waszymi upartymi głowami…

— No dobrze, już dobrze — powiedział gniewnie. — Macie siłę i uzbrojenie. Chodźmy już stąd. Niedobrze mi się robi na samą myśl, jak bardzo jesteśmy bezradni.

Znowu wyszli na korytarz. Na jego końcu znajdowało się okno, przy którym Price przystanął i zaczął przez nie wyglądać. Udawał, że pogrążył się w gorzkim zamyśleniu, ale jego mózg kotłował się szaleńczo, próbując przeanalizować wszystkie plany naraz. Powiedział:

— Jeśli pokażę wam, gdzie jest nasza ukryta kolonia, tylko ją zniszczycie. Jest tam wiele rzeczy, które nie są bronią, rzeczy, które mogłyby pomóc w odbudowie cywilizacji. Dlaczego więc miałbym to robić?

— Aby powstrzymać jakiegoś innego idiotę przed próbą zrobienia tego, co zrobiłeś ty. Nie zniszczymy niczego, co jest użyteczne, a jedynie będziemy to kontrolować pod kątem produkcji broni. — Westchnęła i dodała: — Mówię to z niechęcią, ale ujmę to tak, Price, jeśli nie pokażesz mi tego z własnej woli, to będzie musiało się to odbyć w inny sposób, a tego bym nie chciała.

W jej głosie zabrzmiała szczerość. Price ponarzekał trochę, pozwalając się pokonać.

— W porządku — powiedział w końcu. — Chyba nic na to nie poradzę. Pokażę ci.

— Dobrze. Zorganizuję latacz…

Jej słowa zagłuszyło nagłe wycie syren w całej Cytadeli. Przez chwilę wszyscy zastygli w bezruchu. Z twarzy Linny odpłynęła cała krew. Strażnicy zesztywnieli, gapiąc się na siebie nawzajem sparaliżowani zaskoczeniem. Stalowa żaluzja okna zatrzasnęła się z brzękiem, a Price czuł jak w całym tym ogromnym budynku budzi się ruch i brzęczenie jak w zagrożonym ulu.

— Co się stało? — zapytał, a jego poczucie triumfu zaczęło ustępować, zanim zdążył się nim nacieszyć.

Kiedy mu odpowiedziała, głos Linny zabrzmiał dosyć spokojnie.

— Prawdopodobnie nic. Musisz natychmiast wracać do swojej celi. Sprawę naszej podróży omówimy później.

Syreny zamilkły.

Strażnicy zaczęli teraz pośpiesznie poganiać Price'a, jakby mieli jakieś ważniejsze sprawy do załatwienia. Dookoła Vurna szybko przemieszczali się z jednych miejsc w drugie, ale wszystko to odbywało się w całkowitym porządku. Tylko na ich twarzach widać było napięcie i nie odzywali się, z wyjątkiem przekazywania rozkazów lub próśb o kolejne. Było oczywiste, że ogłoszono alarm, że wszyscy w Cytadeli zajmują stanowiska bojowe i że wszyscy są, jeśli nie przestraszeni, to przynajmniej mocno zaniepokojeni. Price też zaczynał być niespokojny. Niemniej jednak zapamiętał symbol, który identyfikował piętro i przyjrzał się ustawieniom kontrolek windy, gdy został ponownie zwieziony na poziom więzienny.

W zupełnej ciszy wyszli z windy i ruszyli korytarzem w kierunku celi Price'a. Potem znowu zawyły syreny, ale innym tonem. Linna lekko odetchnęła. Zupełnie bezwiednie, objął ją ramieniem.

— Alarm odwołany?

— Tak. Co za ulga. Technicznie jestem żołnierzem, ale obawiam się, że to tylko kwestia techniczna. Ja… cii! Słuchaj.

Wyraźny metaliczny głos zaczął przemawiać przez jakiś system komunikacyjny, który najwyraźniej pozwalał dotrzeć do każdego zakątka Cytadeli. Linna odsunęła się od niego, nie dostrzegając jego poufałości, uważnie słuchając. Strażnicy też się wsłuchiwali, podobnie jak trzech czy czterech innych Vurna, widocznych na korytarzu. Price nie był w stanie niczego zrozumieć, poza tym, że w komunikacie kilka razy zostało użyte

słowo „Ei". Ulubiony straszak Vurna. Zastanawiał się, czy obecne władze Vurna, używały go również do tego, by oszukiwać swoich własnych obywateli. Gdyby oni sami wierzyli w zagrożenie zwane Ei, wyjaśniałoby to otwartość wyjaśnień Linny, czy też szczerą irytację Arrina.

Okno na końcu korytarza pojawiło się ponownie, gdy odsunęła się zabezpieczająca je okiennica. Przez nie Price mógł obserwować lądowanie, zwodniczo małego i odległego, statku kosmicznego. Wyglądało ono rozczarowująco sztucznie i nierzeczywiście, jak nakręcona przy pomocy modeli scena starego filmu.

Czuł jak potężna tkanka Cytadeli, stworzonej przez człowieka góry stali i żelaza, drży mu pod nogami, od fali uderzeniowej tego lądowania. Wiedział już jak to wygląda.

Głos skończył mówić. Nastąpiła chwila martwej ciszy, jakby to, co powiedział głos, było ważniejsze niż sam alarm. Twarz Linny znów zrobiła się blada, a strażnicy wyglądali zarówno na podekscytowanych, jak i zaniepokojonych. Jeden z nich rozmawiał z Linną, a ona kręciła głową, najwyraźniej dając mu jakąś uspokajające odpowiedzi.

Price powiedział z irytacją:

— Czy możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

— Doszło do potyczki — wyjaśniła — w kosmosie. Dlatego właśnie ogłoszono alarm, żeby nam przekazać, że toczą się walki, ale oczywiście, już się zakończyły. Był tylko jeden statek nieprzyjaciela, zwiadowczy.

— Och — stwierdził Price i niemalże się uśmiechnął. Zrób zamieszanie raz na jakiś czas, trzymaj ich w gotowości. Przypominaj im o zagrożeniu. To była prosta technika. Ziemianie wypracowali ją już dawno temu.

Ludzie teraz rozmawiali między sobą. Słyszał ich głosy odbijające się echem w metalowych korytarzach, podekscytowane, przestraszone. Kilkoro z nich podeszło do okna, by wyciągając szyje przyglądać się odległemu statkowi kosmicznemu. A potem metaliczny głos znów zaczął przemawiać, tym razem bardzo ściśle, urywanymi frazami.

— Maksymalny poziom bezpieczeństwa — przekazała Linna. — Wszystkie korytarze mają zostać oczyszczone, wszystkie drzwi i grodzie bezpieczeństwa zamknięte. Cały personel po służbie ma się udać do kwater. Wchodź, Price. — Wskazała na drzwi jego celi. — Muszę się śpieszyć.

Korytarz pustoszał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Price uparcie stał w drzwiach.

— Co się stało teraz?

— Schwytali zwiadowcę. Mają sprowadzić dwóch Ei… żywych.

Jeden ze strażników wepchnął go do środka i drzwi zatrzasnęły się na zamek magnetyczny.

Price położył się na pryczy. Złapano więc zwiadowcę i przywieziono dwóch żywych Ei. A wszystkim w Cytadeli nakazano pozostanie za zamkniętymi drzwiami. Poręcznie. Bardzo. Zaczynał odczuwać mniejszą wrogość przynajmniej do niektórych Vurna. Nie byli tacy twardogłowi i sceptyczni jak Ziemianie. Wierzyli, a ta wiara trzymała ich tutaj, pozwalając na obsadzenie fortu, podczas gdy bez wątpienia woleliby wrócić do domu.

W trudny do wytłumaczenia sposób poczuł zadowolenie, że ma pretekst, aby przestać nienawidzić Linnę.

Rozmyślał o planie, który dojrzewał w jego głowie, aż w końcu zapadł w sen.

W tym pozbawionym okien i praktycznie dźwiękoszczelnym miejscu, trudno było ocenić upływ czasu. Price'owi wydawało się, że minęły wieki. Spał, budził się, jadł, krążył po pokoju i miotał się między nadzieją i rozpaczliwą pewnością, że Linna zupełnie o nim zapomniała. Znowu zasnął i został obudzony z tego snu przez głębokie drżenie Cytadeli, gdy statek kosmiczny albo wylądował, albo wystartował. Leżał sennie, zastanawiając się, jak to jest, latać jednym z tych potężnych statków, zdradziecko żałując, że nie jest Vurna, żeby mieć szansę aby tego spróbować, i marząc o kosmosie, gwiazdach i obcych światach.

Cytadela znowu się zatrzęsła, potem jeszcze raz, i Price obudził się na dobre. Naliczył dwadzieścia jeden wstrząsów, ale nie było możliwości aby się dowiedzieć, ile lądowań lub startów miało miejsce w czasie kiedy spał lub zbyt daleko w Pasie, by można było je tu zauważyć.

Z pewnością miał miejsce jakiś duży ruch. Znowu zaczął chodzić zdenerwowany i zmartwiony tym, co to może oznaczać, nie dla Vurna, ale dla niego.

Po czasie, który wydawał się wiecznością, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Linna, blada i poważna. Nie było z nią strażników. Tym razem była sama.

— Latacz czeka, Price — oznajmiła. — Chodźmy.

Dołączył do niej. Po wyjściu z celi zobaczył, że zmienił się wygląd korytarza. Przesuwana przegroda zamknęła jego część za żelazną ścianą.

— Po co to? — spytał Linnę.

— Nasi… więźniowie — wyjaśniła Linna, jakby słowa przylgnęły jej do języka. — Dalej, chodź.

Wydawało się, że bardzo jej się spieszy, by jak najbardziej oddalić się od tej przegrody. Price spytał:

— Co się dzieje, czy to nie są ludzie, czy coś takiego?

Popatrzyła na niego.

— Nadal uważasz, że to wielkie oszustwo.

— Tego nie powiedziałem.

— Ale to masz na myśli. Nadal uważasz, że Ei to zagrożenie, które wymyśliliśmy, aby zrzucić z nas winę za zniszczenie Ziemi. Prawdopodobnie wierzysz, że zainscenizowaliśmy całą tę sprawę, aby sprawić wrażenie na tobie i twoim wodzu, abyście wrócili i zapewnili swoich współplemieńców, że to wszystko jest prawdą.

Było to tak nieprzyjemnie bliskie temu, co Price rzeczywiście myślał, że mimowolnie powiedział:

— Jesteś za mądra jak na tak ładną dziewczynę.

— Czasami myślę sobie — wycedziła przez zęby — że dla was nie ma już nadziei, żadnej nadziei.

Price skinął głową w stronę grodzi.

— Rozwiązanie jest dosyć proste, prawda? Pokaż mi ich. Wtedy będę musiał ci uwierzyć.

— Dosyć proste — stwierdziła Linna, powtarzając jego słowa. — I co, myślisz, że zdołałbyś się im przeciwstawić? Walczymy z nimi od pokoleń, posiadamy wiedzę i doświadczenie, a nawet dla nas, przy wszystkich naszych zabezpieczeniach, jest to bardzo trudne. Tylko nieliczni, tacy jak Arrin, są w stanie tego spróbować, i widziałem go dziś rano. Wygląda jak duch.

— I dlatego właśnie nigdy nie pozwoliliście żadnemu Ziemianowi zobaczyć Ei, ponieważ są zbyt niebezpieczni.

— Nie. To jeszcze bardziej proste niż myślisz. Nie mieliśmy czego wam pokazać. To pierwsi Ei, których złapaliśmy, od stulecia, przynajmniej w tym sektorze galaktyki. Ja też nigdy żadnego z nich nie widziałam. I nie mam na to ochoty.

Odeszła, oddalając się od żelaznej ściany po drugiej stronie korytarza. Price wzruszył ramionami i poszedł za nią.

— Gdzie są moi przyjaciele?

— Są tutaj — powiedziała, wskazując rząd drzwi, które mijali. — Zupełnie bezpieczni… albo przynajmniej tak samo bezpieczni jak my wszyscy. Pozostaną tutaj, dopóki… — zawahała się, a Price po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jest głęboko, autentycznie przerażona. — Dopóki nie zobaczymy, co się wydarzy — dokończyła.

— A po tym wydarzeniu, co?

— Jeśli oni nadal będą żyli, i my nadal będziemy żyli, a planeta nadal będzie istnieć, odejdą wolni i być może staną się nieco mądrzejszymi ludźmi, niż są teraz.

Nie chciała mu nic więcej powiedzieć.

Winda zabrała ich na dach. Było późne popołudnie, bardzo upalne, a na zachodzie zbierały się chmury burzowe. Dach wydawał się niemal pusty i widać było był tylko jeden latacz. Linna wsadziła go do niego i sama wsiadła za nim. Porozmawiała z pilotem, a on natychmiast wystartował. Nie było drugiego pilota. Tylko Price, Linna i jeden człowiek. Price poczuł sekretny przypływ pewności siebie, siły, jak wtedy, gdy człowiek ma szczęście, a kości nie mogą potoczyć się w żaden inny sposób, jak tylko dobrze. Siedział w milczeniu wyglądając przez port kabiny.

Niemal od razu zauważył, że statki kosmiczne zniknęły. Cała flota Vurna musiała wystartować, wstrząsając Cytadelą przy swym odlocie. Prawdopodobnie większość ludzi poleciała z nimi. Opustoszały wygląd Cytadeli, brak strażników, brak drugiego pilota – wszystko to wskazywało na pozostawienie w bazie jedynie sił szkieletowych. „Jeśli nadal będziemy żyli i nadal będzie istnieć planeta”, powiedziała Linna. Bitwa gdzieś w odległych zakątkach kosmosu? Być może. Albo manewry, albo pokaz siły związany z jakąś galaktyczną grą, o której prawdopodobnie nigdy się nie dowie. To nie było tak naprawdę ważne. Ważny był fakt, że na razie obrona Cytadeli była słabsza, znacznie słabsza.

Siedział wyglądając przez port i skrycie obserwował ręce pilota na sterach. Linna miała jakiegoś rodzaju broń boczną, wiszącą na

otaczającym jej szczupłą talię pasie. Prawdopodobnie szoker. Pilot też miał coś podobnego. Zastanawiał się nad tym problemem, podczas gdy lasy i prerie ulatywały pod nimi w tył.

Linna nagle się odezwała, po długiej i ponurej ciszy.

— Ta misja jest teraz ważniejsza niż kiedykolwiek przedtem, Price, inaczej nie pozwolono by mi zabrać ani jednego człowieka z naszej obrony. Błagam cię, ze względu na swój własny lud, graj ze mną uczciwie. Jeśli tylko na naszych tyłach istnieje jakaś pomoc lub przeszkoda, musimy o tym wiedzieć.

„Teraz” powiedziało coś w umyśle Price'a. Nie zatrzymał się aby to przeanalizować. Kiedy masz dobrą passę, musisz na niej jechać. Nigdy nie zatrzymuj się aby analizować.

Wstał i walnął Linnę prosto w jej śliczny podbródek.

ROZDZIAŁ VIII

Padła na swoje miejsce, nie wydając żadnego dźwięku. Price sięgnął po broń, którą miała przy pasie. Ale nagłe jej zamilknięcie zaalarmowało pilota. Odwrócił się i wykrzyknął coś nakazującego w języku Vurna, a jego ręka szybko powędrowała w stronę własnego pasa.

Price wyprzedził go o ułamek sekundy. Palec Ziemianina nacisnął spust i nieznana broń zatrzeszczała mu w dłoni, zaś pilot przewrócił się, pozwalając, by jego własny szoker poszybował łukiem na pokład. Aerodyna nie zboczyła ani na centymetr w stałym locie na zachód. Na podstawie tego, co widział wcześniej odnośnie jej automatycznej stabilizacji, był pewien, że tak się stanie.

Price stanął prosto, oddychając ciężko z podniecenia. Jak na razie wszystko szło dobrze.

Skrępował ręce i stopy Linny jej własnym paskiem i chusteczką, a potem zajął się pilotem. Linna zaczynała się już poruszać, więc ułożył ją tak wygodnie, jak to było możliwe, odgarniając jej włosy z czoła. Uśmiechnął się nagle i powiedział:

— Bardzo mi przykro. Naprawdę. Gdyby był jakiś inny sposób, nie zrobiłbym tego.

Pocałował ją w usta, dosyć krótko, bo nie miał zbyt wiele czasu, ale i tak z pełną dozą uczucia. Westchnęła i wydawało mu się, że jej usta odpowiadają na jego pocałunek, ale wątpił, czy tak będzie również, kiedy dziewczyna przyjdzie do siebie.

Wślizgnął się na fotel pilota i przyjrzał się sterom, wyrzucając z głowy wszystkie inne myśli i próbując sobie przypomnieć, czego się dowiedział obserwując pilotów. Aerodyna mruczała równo i miarowo. Miał duży zapas wysokości.

Zaczął ostrożnie eksperymentować, a gdy znalazł się już za rzeką, był przekonany, że potrafi pilotować statek na tyle dobrze, by dać sobie radę. Było to znacznie prostsze niż w dawnych czasach nauka prowadzenia samochodu, a on miał za sobą całe życie spędzone na lataniu, co dawało mu doskonałe wyczucie powietrza. Sam statek był wspaniałą maszyną, lepszą od wszystkiego, czym kiedykolwiek latał. Skierował się na południe i na zachód, z dala od rzeki, pędząc jak pocisk.

Linna odezwała się zza jego pleców. Jej głos był brzmiał zimno i bardzo twardo, jak głos jakiejś obcej osoby.

— Arrin mówił mi, że powinnam cię związać. Zostawiłam cię na swobodzie, na własną odpowiedzialność.

Price bardzo żałował tego co się stało i tak jej powiedział.

— Linna, spróbuj spojrzeć na to z mojej strony. Muszę zrobić wszystko co w mojej mocy, dla moich rodaków. Gdybyś ty była na moim miejscu…

— Gadaj sobie zdrów — odparła Linna. — Ta rozmowa oczywiście nie ma sensu. Nie będę dłużej marnować na nią czasu, tylko tyle że ci powiem…

Opowiedziała mu barwnie, jakim jest głupcem i co się z nim stanie, jak miała nadzieję, zanim poprowadzi wszystkich swoich głupców na zagładę. Potem zamilkła i nie chciała powiedzieć ani słowa więcej, bez względu na to jak próbował ułagodzić jej wściekłość.

Ciemnozielony las jak wełniany dywan o szorstkiej fakturze, przesuwał się pod nim, a słońce pochłonęły chmury. Wytężał wzrok, szukając polany, która miała oznaczać Stolicę Missouris. Leciał według zliczenia kursów. Przede wszystkim nie miał kompasu, a przyrządy Vurna były dla niego bezużyteczne. Pilot zaczynał się budzić, ale Price wiedział, że lepiej nie prosić go o pomoc.

Do zbudowanej z drewna Stolicy doprowadziło go w końcu czerwone światło ogni, płonących na skraju nocy. Teraz w końcu Linna się odezwała, bo pilot, wyjrzawszy na zewnątrz, zaczął coś gorączkowo krzyczeć w języku Vurna. Przetłumaczyła.

— On mówi, żeby nie redukować tak ostro odrzutu w dół, bo się rozbijesz. Ta dźwignia – tam, pod twoją lewą ręką – przesuń ją w tył.

Price przesunął ją. Usiadł na nierównym i postrzępionym lądowisku, mniej więcej w miejscu, w którym wcześniej wylądował statek Vurna, kiedy był więźniem Sawyera. Ludzie powychodzili z domów i wypełnili ulice, aby stać zebrać się w miejscu, w którym stali wtedy, aby powitać znienawidzonych nadzorców w milczeniu i pogardzie.

Price wyskoczył z łodzi i podszedł do ogni.

Rozległ się krzyk zaskoczenia, a potem jego nazwisko przemknęło echem tam i z powrotem, a ludzie zamknęli się wokół niego. Wydawali się być w dosyć wrogim nastroju, domagając się informacji, gdzie jest Sawyer, co się stało i jakim cudem przyleciał tutaj, pilotując latacz Vurna. Price krzyknął o ciszę.

— Sawyer żyje. Jest więźniem w Cytadeli. Burr i Twist też. Chcecie ich uratować?

To ich zaskoczyło.

— Słuchajcie — zaczął Price, a potem zobaczył, że w jego stronę przepycha się Oakes, razem z niewielką lecz zdeterminowaną grupą ludzi.

— Odsunąć się — zażądał Oakes. — Odsunąć się. Ten człowiek jest zdrajcą. Zdradził Radę, zdradził Sawyera. Jeśli go posłuchacie, zdradzi i was. Zwrócił się do Price'a. — Wracaj do swoich panów Vurna. Powiedz im, że nie mamy zamiaru...

— Och, zamknij się — przerwał mu niecierpliwie Price. — Nie jesteś tu wodzem i nigdy nim nie będziesz, nawet jeżeli zostawisz Sawyera, by zgnił w Cytadeli. — Wyjął szoker zza pasa, gdzie go wcześniej wsunął. — Ukradłem ten latacz Vurna i to też ukradłem. Użyję tej broni przeciwko tobie, jeśli będę musiał.

Oakes wyglądał wściekłego, ale zawahał się, a Price dodał:

— Jeśli chcecie dowodu na to co mówię, niech paru z was zajrzy do latacza.

Kilku ludzi odłączyło się od tłumu i ruszyło kłusem w stronę latacza. Po chwili zaczęli wyć i wiwatować. Wrócili niosąc pilota i Linnę, która patrzyła na Price'a z największą nienawiścią.

— Dla mnie, to wygląda na sztuczkę — oznajmił Oakes. — Mogli się celowo powiązać.

Price odparł:

— A czy to też wygląda na sztuczkę, że wszystkie statki kosmiczne wystartowały zeszłej nocy z Cytadeli? Musieliście je słyszeć lub widzieć, nawet z tej odległości.

— Tak — potwierdził chudy farmer, — widziałem smugi ognia na niebie przed świtem. Właśnie doiłem.

Inni też je widzieli. I teraz w ich głosach pojawiła się nuta podekscytowania.

— Co to znaczy? Co tam się wydarzyło? Czego chcesz?

— Cytadela została ogołocona z ludzi — wyjaśnił. — A ja wiem, gdzie jest kontrola ognia broni, która panuje nad Pasem. Tym lataczem mogę wylądować bezpośrednio na Cytadeli bez meldowania się. Mogę zabrać paru z was ze sobą i obezwładnimy obsługę tej broni. Powinniście być w stanie wedrzeć się do środka, bez większego oporu, niż taki, z którym dzielni ludzie powinni sobie poradzić. Wy...

— Price — wtrąciła Linna tonem absolutnego przerażenia, — nie wiesz, co robisz. Flota wyruszyła, by walczyć z Ei. Arrin wycisnął pewne informacje z jeńców – flota Ei jest gdzieś poza tym Układem Słonecznym, a nasze statki wyruszyły w kosmos, aby ją przechwycić.

Strach w jej głosie narastał.

— Jednak jeśli siły Ei wymkną się naszej flocie i uderzą bezpośrednio na naszą tutejszą bazę – nie rozumiesz, tylko nasze wielkie baterie rakietowe wokół Cytadeli mogą obronić Ziemię! Jeśli uderzysz na Cytadelę, nie będzie żadnej obrony.

Odparł:

— Linna, wiem, że ty wierzysz w Ei. Prawdopodobnie większość waszych, tak samo. Ale nigdy nie widziałaś żadnego z nich, przez całe stulecie nikt na Ziemi nie widział. Oni są mitem, wybiegiem politycznym, to wszystko.

Pokręciła głową, rozpaczliwie szukając słów.

— Nie idźcie za nim! — krzyknęła do ludzi. — Nie słuchajcie go. My walczymy również o wasze życie i bezpieczeństwo. Nie bądź tacy szaleni, żeby teraz wbić nam nóż w plecy!

Patrzyli na nią w blasku ognia, ludzie o granitowych twarzach, którzy byli już zmęczeni Gwiezdnymi Panami. Potem, nie zwracając uwagi na Oakesa, zwrócili się ku Price'owi.

— On ma rację — wycedził jeden z nich. — Gwiezdne pomioty zbyt długo okłamywały nas na temat Ei. Żaden dzieciak na Ziemi w to nie wierzy.

Głowa opadła Linnie bezradnie do przodu, a potem dziewczyna odwróciła się od nich. Ona wciąż w to wierzy, w każde słowo, pomyślał Price. Biedna Linna. Oddałby wszystko, żeby ją pocieszyć.

Ale nie było czasu na uprzejmości, nie było czasu na nic poza planowaniem. Powiedział:

— Słyszeliście co powiedziałem, wiecie, że taka szansa może się już nigdy nie powtórzyć… jesteście ze mną?

A oni odpowiedzieli:

— Tak!

— Dobrze więc — powiedział Price. — Dobrze więc, musimy zwołać naradę, żeby przygotować plany, a potem będziemy musieli szybko zaatakować, zanim flota powróci. Czy są tu wasi przywódcy, podwładni Sawyera?

Zgłosiło się pięciu lub sześciu ludzi, pod-wodzów okręgowych. Jeden z nich skinął głową w kierunku dwójki Vurna.

— Co z nimi zrobimy?

— Traktujcie ich dobrze — polecił surowo Price. — Są naszą gwarancją życia Sawyera. — Nie wiedział, czy na pewno tak było, ale nie chciał, żeby Linna cierpiała z jego powodu. Dodał: — Upewnijcie się jednak, żeby z nikim nie rozmawiali. I pamiętajcie, że w wielkiej radzie był zdrajca. Lepiej wszyscy miejcie oko na jakieś sygnały i urządzenia komunikacyjne. A teraz, porozmawiajmy.

Narada trwała do późnej nocy. Największym problemem Price'a było przekonanie ludzi z plemienia, by nie zabierali ze sobą swoich karabinów.

— Urządzenia wykrywające metale w latających oczach zauważą was, zanim wejdziecie na dziesięć mil w głąb Pasa, a nie mogę zdjąć obsługi kontroli ognia zbyt wcześnie. Nie dalibyśmy rady utrzymać jej dostatecznie długo, a bez względu na to, co moglibyśmy zniszczyć w urządzeniach sterujących bronią, będą mieli czas, aby je naprawić i użyć przeciwko wam. Musicie zinfiltrować Pas ze wszystkich stron, trzymając się pod osłoną, i znaleźć się w zasięgu uderzenia, zanim wylądujemy na

Cytadeli. Poza tym, przeciwko szokerom Vurna, wasze karabiny nie byłyby dużo bardziej użyteczne, niż myśliwskie bola. Postaramy się przekazać wam jakąś lepszą broń, kiedy już dostaniemy się do środka.

— Oczywiście — zauważył jeden z pod-wodzów o pomarszczonej twarzy, — kiedy my, Ohio, Kentucky i cała reszta znajdziemy się już w Pasie, bardzo łatwo będziesz mógł przekazać o tym wiadomość do Cytadeli i będą mogli zgładzić nas wszystkich jednocześnie, ot tak.

Price odparł szorstko:

— Od was zależy, czy chcecie zaryzykować, czy nie. Jeśli mówię prawdę, możecie zdobyć Cytadelę i zdjąć stopę Gwiezdnych Panów ze swych karków. Jeśli nie, będziecie martwi. Ale nigdy już nie będziecie mieć takiej szansy. Zdecydujcie się w końcu.

Zdecydowali się.

— Jak na czas rozesłać wiadomości do innych plemion? Człowiek na końskim grzbiecie potrzebowałby kilku dni, by objechać wschód i północ.

— Ja przekażę wiadomość — odparł Price. — Lataczem. Jutro do zachodu słońca ludzie ze wszystkich plemion będą gotowi do wkroczenia do Pasa. I wybierzcie mi pół tuzina doświadczonych wojowników, pod dowództwem pod-wodza. Pół tuzina ludzi, którym można zawierzyć los całego ataku.

Pomarszczony stary wódz, który nazywał się Sweetbriar, powiedział cicho:

— Dam ci tych sześciu i polecę z wami.

Jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem Price'a, i Price uśmiechnął się.

— Dam ci szoker — obiecał. — Będziesz mógł go użyć, kiedy tylko uznasz to za stosowne. A to powinno przekonać inne plemiona, że mogą na mnie liczyć.

— Powinno — przyznał Sweetbriar, kiwając głową. — Teraz lepiej dobrze przeliczmy odległości. Z tego co rozumiem, ma to być naprawdę potężne uderzenie, i jeśli nie dotrzemy tam wszyscy jednocześnie, to może lepiej od razu zostańmy w domu.

Ustalili wszystkie szczegóły, wytężone marsze podczas nocy, skromną rację żywnościową, którą każdy człowiek miał nieść ze sobą. Priceowi udało się przespać godzinę, zanim wyruszył w ciemności przedświtu, by poderwać inne plemiona. Kiedy spał, śniła mu się żelazna góra, nie do zdobycia, zwieńczona destrukcyjnymi mocami, obserwująca nieustannie wszystko tysiącem oczu. We śnie zdawał sobie sprawę, że żaden człowiek nigdy tego nie zdoła jej zdobyć.

ROZDZIAŁ IX

Aerodyna unosiła się wysoko w ciemnościach nocy, zmierzając w kierunku Cytadeli. Nad nią świeciły jasne gwiazdy. W dole widać było ciężkie chmury splecione z błyskawicami, zasłaniające zupełnie ziemię. Skrywały one Pas i szeregi poruszających się w nim ludzi, wśród ciemnych drzew, przez wiatr i deszcz.

Minęła już jedna noc, a druga zbliżała się ku końcowi. Zanim słońce znowu zajdzie za horyzontem, wszystko się skończy, w ten czy w inny sposób.

Price znajdował w tym stanie ekstazy, która pojawia się po pewnym czasie przedłużającego się napięcia bez odpoczynku, kiedy człowiek porusza się odrobinę poza swym ciałem i gdzieś ponad ziemią, oderwany od wszelkich normalnych spraw, i wszystko wydaje się toczyć z widocznym szaleńczym pośpiechem, tak jakby pojedynczy czyn inicjujący wywołał nieuniknioną serię reakcji, a wszystko, co trzeba zrobić, to tylko dotrzymać im kroku. Nie spał zbyt wiele, ale nie był zmęczony. Element dachu Cytadeli, okrągłe czerwone koło windy, przyciski które nią sterowały, symbol oznaczający właściwe piętro, kształt, wielkość i położenie centrum kierowania ogniem, jasno płonęły w jego umyśle. Ich przygotowania i odpowiednia kolejność działań, nie pozwalały na żadne potknięcia.

Sweetbriar siedział koło niego, w fotelu drugiego pilota. Trzymał szoker w swych sękatych dłoniach i od czasu do czasu obracał nim na wszystkie strony lub wodził palcem po jego gładkich, niezwykłych kształtach. Do tej pory nie miał jeszcze okazji aby go użyć. Stał obok Price'a w kilkunastu drewnianych miasteczkach, pomagając mu przemawiać do kilkunastu pełnych wątpliwości wodzów lub pod-wodzów, plemion na obrzeżach Pasa. Również niewiele spał, ale jego oczy były jasne i stalowe, jak u jastrzębia. Jeśli przerażały go wrażenia związane z lotem, w żaden sposób tego nie okazywał.

Sześciu wybranych przez niego ludzi siedziało spokojnie w kabinie. Mogło to być tych samych sześciu mężczyzn, których Price spotkał po raz pierwszy, kiedy wylądował w Pasie, leśni myśliwi, łowcy jeleni i dzikiego bydła, wszyscy szybcy i muskularni, urodzeni wojownicy. Byli teraz rozluźnieni jak bezczynne psy gończe, gdy nic nie było do roboty. Oni również opanowali strach przed lataniem, jeśli w ogóle na jakiś cierpieli.

Burza w dole przesuwała się szybko na wschód, szerokim frontem. Price mógł z łatwością nad nim przelecieć, ale nie zrobił tego, utrzymując się tylko na tyle wysoko, by móc dostrzec Cytadelę, gdy znajdzie się w zasięgu wzroku. Był wdzięczny za tę burzę. Wydawała się ona omenem szczęścia. Mogła skryć nadciąganie plemion z zachodu i ukryje jego własne lądowanie, jeśli odpowiednio to zsynchronizuje. Ciemna noc powinna ułatwić wtargnięcie jego grupy bojowej do windy, a może nawet i jej działania na dole, zanim ktokolwiek się zorientuje, że nie są oni powracającą grupą Linny.

Biedna Linna. Widział ją zaledwie przez chwilę, zanim opuścił Stolicę w Missouri. Chciał się upewnić, że jest bezpieczna i że zapewniono jej

wszelkie wygody, i chciał jeszcze raz spróbować przekonać ją, by zrozumiała co on czuje.

— Nie jestem twoim wrogiem, Linno — powiedział. — Uwierz w to. Kiedy to wszystko się skończy…

— Jeśli zdobędziesz Cytadelę — odpowiedziała — nie będzie miało znaczenia, kto jest czyim wrogiem. Oboje, ty i ja, staniemy się ofiarami Ei. Jeśli jej nie zdobędziesz – będziesz martwy, tak samo jak twoja szalona armia, i jak długo pozwolą mi potem tutaj żyć? Tak czy inaczej, oboje przegramy.

I mówiła to wszystko z taką cichą rozpaczą, że prawie stracił serce.

Ale nie całkiem.

Blask gwiazd i rozbłyski błyskawic w dole, pozwoliły mu dostrzec daleko w mrokach nocy, ciemny błysk metalu. Odezwał się do Sweetbriara i pokazał mu go ręką. Stary człowiek popatrzył we wskazanym kierunku, mrużąc oczy, a sześciu myśliwych również obudziło się i zaczęło przyglądać.

— Nie wygląda stąd specjalnie imponująco — powiedział jeden z nich.

Price nie dyskutował z nim. Być może dobrze, że jego siedmioosobowa armia nie miała zbyt dokładnego widoku na fortecę, którą planowali napaść.

Przez chwilę wisiał wysoko w, cichym powietrzu, obserwując przetaczający się jak fala front burzowy. Kiedy już prawie dotarli do odległego błysku metalu, powiedział ostro:

— No dobrze, teraz!

I pomknął ze świstem aerodyną w dół po niebie.

Pochwyciły go szalone prądy powietrzne, kipiące przed burzą i nad nią. Przez jedną straszną chwilę myślał już, że stracił kontrolę nad aerodyną. Kołysało nią, ciskało i obracało na wszystkie strony, rzucając go na pas bezpieczeństwa, aż pękały mu żebra, a jego ciało wydawało się rozpadać na dwie połowy. Plemienni łowcy byli teraz szczerze i głośno przerażeni. Potem wbudowane stabilizatory i zmysł lotniczy Price'a przejęły ponownie kontrolę nad pojazdem i spadek ruchem wirującego liścia ustabilizował się, zmieniając się twarde i szarpiące, ale kontrolowane opadanie.

Nie widział teraz niczego poza jednolitą czernią burzowych chmur, dopóki nie rozbłysła błyskawica i nie oświetliła smaganego deszczem, jałowego terenu w dole. Zalała go jasnym blaskiem, krótkim, ale wystarczającym, by dalej poprowadzić Price'a. Pilotował ostrożnie i pozwolił, by niósł go główny prąd wiatru, aż do czasu gdy przed nim, w blasku uderzającego pioruna, nie pojawiła się ogromna i przerażająca ściana Cytadeli. Zawisł kołysząc się nad dachem, aż kolejne wyładowanie nie pokazało mu wymalowanego kręgu windy. Potem twardo posadził aerodynę tuż obok niego.

Nie było potrzeby niczego omawiać. Wszystkie instrukcje zostały wcześniej dokładnie przedyskutowane. Price i siedmioro plemiennych

łowców wyszli, pokonali kilka stóp po dachu, wsiedli do windy i zjechali w dół, zanim rozbłysła następna błyskawica.

Ludzie ciężko oddychali, trzymając w jednej ręce liny do rzucania, w drugiej noże. Sweetbriar zerknął na szoker. Następnie podał go Price'owi i odpiął obciążone bolo od własnego pasa, delikatnie nim wymachując.

Nie włączył się żaden alarm.

Price obserwował symbole przemykające na pasku windy. Kiedy pokazał się ten właściwy, wcisnął odpowiedni przycisk i zaczekał. Winda się zatrzymała. Rozsunęły się automatyczne drzwi. Ruszyli szybko, wyszli na korytarz.

W zasięgu wzroku widać było tylko jednego człowieka, idącego gdzieś z plikiem papierów w ręce. Zatrzymał się, jego oczy rozszerzyły się, a usta otworzyły. Price wystrzelił z szokera. Mężczyzna upadł, zaś papiery rozsypały się po podłodze. Price ruszył biegiem. Jego buty szybko stukały o plastikową powierzchnię podłogi. Mokasyny łowców nie wydawały żadnych odgłosów. Liczył drzwi, a potem odwrócił się, by po raz ostatni popatrzeć na Sweetbriara i jego ludzi. Ich oczy były bardzo jasne, a na twarzach widać było świecące krawędzie zębów. Sweetbriar skinął głową.

Price otworzył drzwi.

Poszło im łatwo, łatwiej nawet niż marzył. Czterej technicy w mundurach z matowego złota odwrócili się i stanęli przerażeni, wpatrując się w nich – przez chwilę, nie dłużą niż potrzeba człowiekowi do złapania oddechu, ale to wystarczyło. Bola owinęły się wokół trzech z nich jak latające węże i powaliły ich na podłogę, a czwarty padł pod wyładowaniem szokera.

— Zamknijcie drzwi — polecił Price, i jeden z myśliwych wykonał polecenie.

Price ogłuszył pozostałych trzech szokerem, a łowcy ich związali. Przy jednej ze ścian znajdował się stojak z bronią boczną, z kilkoma szokerami. Price rozdał je ludziom, a potem podszedł do zestawu przycisków odpalających. Myśliwi stali wpatrzeni w ruchome obrazy burzowego Pasa, widoczne na ekranach skanerów, dopóki Sweetbriar nie wysłał ich do pilnowania drzwi.

Pod sięgającymi do bioder panelami kontrolnymi znajdowały się okienka serwisowe. Price otworzył jedno z nich i przyjrzał się okablowaniu, dysząc bardziej z podniecenia niż z wysiłku. Do ustalonego czasu ataku pozostało tylko kilka minut. Nie chciał jednak przypadkowo włączyć przekaźników odpalających, próbując je dezaktywować. Bał się bezmyślnie szarpać za druty.

Jednak w miejscu, gdzie poszczególne przewody biegły na tył pomieszczenia, aby połączyć się z głównym kablem, przechodziły one przez szereg wyłączników. Priceowi wydawało się logiczne, że są to wyłączniki bezpieczeństwa, których należy używać podczas konserwacji, i że wyłączają one nieznane destrukcyjne maszyny na dachu.

Nie miał lepszego pomysłu, a czas prawie się skończył. Rozłączył jeden z przełączników i zerknął szybko na ekrany. Nic się nie stało. Szybko powyłączał pozostałe i poodrywał przewody od tablicy. Następnie metalowym krzesłem rozbił same przyciski.

Akurat kiedy skończył, Sweetbriar krzyknął nagle.
— Nadchodzą – i to dokładnie o czasie!
Price, spocony, uniósł wzrok. Sweetbriar i myśliwi z zapałem wpatrywali się w ekrany.
Pokazywały one ogarnięty burzą Pas i małe, ciemne postacie – setki – tysiące – łowców z plemion, biegnących w stronę Cytadeli.
Gdzieś w Cytadeli rozdzwonił się dzwonek alarmowy. Natychmiast zadźwięczały echem inne dzwonki, odległa kakofonia alarmów.
— Wynosimy się stąd, i to szybko — krzyknął Price. — To pierwsze miejsce, do którego zbiegną się Vurna. Jeśli zdołamy przedostać się na dół, może uda nam się pomóc innym.
Wypadli z pomieszczenia, pobiegli z powrotem korytarzem, mijając nieprzytomnego człowieka, który wciąż leżał na podłodze. Cokolwiek by się teraz nie wydarzyło, ich towarzysze przedzierający się przez Pas nie musieli już się obawiać broni na dachu.
Drzwi windy otworzyły się przed nimi bez żadnego ostrzeżenia i wyskoczyło z nich pięciu ubranych na zielono Vurna.
Nie było szans na użycie szokerów ani bolas – znajdowali się tak blisko siebie, że w ruch poszły ręce i pięści. Walczyli, chwytając się i uderzając, ich stopy ślizgały się po gładkiej podłodze, a dookoła słychać było terkoczące dzwonki alarmów.
W tej wrzawie nagle pojawiła się nowa nuta. Przytłumione odgłosy krzyków, które tłumnie zaczęły dobiegać z dolnej części Cytadeli.
— Plemiona wdarły się do środka! — krzyknął Sweetbriar. — Na Boga, ja…

Poleciał odrzucony do tyłu przez zamach zielonego ramienia. Jego antagonista starał się wyciągnąć zza pasa szoker. Price desperacko kopnął swojego przeciwnika i pchnął go na metalową ścianę. Zobaczył, jak srebrna głowa wali z hukiem o ścianę, i Vurna osunął się na kolana.
Price rzucił się i podbił szoker, który wycelowany był w Sweetbriara. Łowcy pokrzykiwali, oczy im płonęły. To był ich ulubiony rodzaj walki. Uwielbiali go. Po latach ponurego życia, mogli w końcu użyć swych pięści przeciwko Gwiezdnym Panom, i to im się podobało.
Fala hałasów z niższych poziomów wskazywała na znacznie silniejszą bitwę na dole, rozprzestrzeniającą się po całej Cytadeli. Po kilku chwilach, jednak, te odgłosy i znacznie mniej intensywne odgłosy ich własnej oszałamiającej walki, zostały przerwane przez nowy, gwałtowny, władczy dźwięk.
Było to wycie syreny, głośne i rozkazujące, z każdą sekundą coraz głośniejsze, huczące jak głos trąby zagłady w całym ogromnym żelaznym kolosie.
Dwaj Vurna, którzy wciąż stali na nogach, próbowali odwrócić się i uciec korytarzem. Bolas myśliwych szybko ich powaliły.
Pomarszczona, stara twarz Sweetbriara była wystraszona i zaskoczona, gdy podniósł się z podłogi.

— Co to, do cholery…

— To syrena alarmowa Vurna, wzywająca na stanowiska bojowe! — wyjaśnił mu Price. — Trochę się z tym spóźnili. Chodźmy!

Razem z myśliwymi zaczęli szukać schodów, biegnąc szybko po opustoszałych korytarzach. W końcu znaleźli je i popędzili na dół, poziom po poziomie.

Syrena wciąż wyła, rycząc teraz już ogłuszająco głośno.

Nie mogła jednak zagłuszyć burzliwego zgiełku, który wypełniał niższe poziomy. Price i towarzyszący mu ludzie zostali nagle powitani przez masę łowców z plemion, wdzierających się z poziomu gruntu. Krzyczeli, śmiali się, skakali po korytarzach, ciągnąc za sobą jednego czy dwóch schwytanych Vurna – triumfujący zwycięzcy, tratujący znienawidzoną potęgę swoimi obutymi w mokasyny stopami. Ich włosy, brody i ubrania wciąż jeszcze ociekały deszczem.

Pochwycili Price'a, Sweetbriara i sześciu innych w swój postępujący coraz dalej front, waląc ich po ramionach i radośnie ściskając.

— Udało się! Mamy ich! — krzyczeli. — Zdobyliśmy Cytadelę!

— Czy to już koniec? — zapytał z niedowierzaniem Price. — Tak wcześnie?

— To dzięki temu potężnemu jazgotowi — oświadczył rudobrody mężczyzna. — Nagle zaprzestali walki i zaczęli zwiewać, jakby to był sygnał do ucieczki, ale nie udało im się nam umknąć. Słyszałem, że tam na dole złapali samego starego Arrina, siedział w jakimś wielkim pomieszczeniu, przeklinając i krzycząc na całe gardło.

— Gdzie jest Sawyer? — ktoś zawołał i Sweetbriar podjął to wołanie. Price odparł.

— Wydaje mi się, że gdzieś na tym poziomie. Znajdźcie jakiegoś Vurna, który mówi po angielsku i niech wam pokaże. To oszczędzi wam czasu.

Przepchnął się przez tłum do schodów i przecisnął na dół. Chciał zobaczyć Arrina. Chciał zobaczyć dumnego dowódcę Cytadeli, upokorzonego, złamanego.

Plemienni łowcy szaleli w korytarzach, niszcząc różne przedmioty jak szczęśliwe dzieci. Skierowali go do ogromnego, zatopionego w głębi budowli pomieszczenia, o którym Price wiedział, że musi być samym sercem i duszą Cytadeli, powodem jej istnienia. Było to imponujące miejsce pełne ekranów, wielkich paneli oraz skomplikowanego sprzętu. Ale te ekrany spoglądały gdzieś daleko poza Ziemię, pokazując pełen gwiazd kosmos, płonące słońca i niewyobrażalne ciemne otchłanie. Stąd Vurna obserwowali cały sektor kosmosu, a znajdujące się tu skomplikowane układy sterowania musiały być wyzwalaczami potężnych baterii rakietowych koło Cytadeli, broni, która mogła uderzyć szybko i daleko w przestrzeń.

Przed pomieszczeniem stał strażnik, który pilnował go przed świętującymi współbraćmi. Jacyś trzeźwiejsi członkowie plemienia musieli poczuć rozsądną troskę o możliwe skutki majstrowania przy tych niepojętych, ale ewidentnie potężnych mocach. Obawiali się, że cała

Cytadela mogłaby wybuchnąć razem z nimi. Kilku techników wciąż stamtąd wyrzucano, gdy nadszedł Price.

Było tu także wielu wodzów, Arrin był z nimi, ale nie przeklinał ani nie krzyczał. Stał między dwoma muskularnymi łowcami, twarzą do wodzów, a na jego obliczu malował się taki ból, rozpacz i przerażenie, że wstrząsnęło to Pricem.

— Co mam zrobić — mówił właśnie — żebyście zrozumieli? To ostrzeżenie pochodzi od naszej floty. Ei wymknęli się jej w Przestrzeni Centaura i zbliżają się do Ziemi. Jeśli nie będziemy bronić Cytadeli…

Urwał, widząc nadchodzącego Price'a. Potem oznajmił z goryczą:

— Gratuluję. Niewielu ludzi może się pochwalić, że praktycznie w pojedynkę zniszczyli całą planetę.

Jeden z wodzów spytał Price'a:

— Czy jest z tobą Sawyer?

Price pokręcił głową.

— Poszli go właśnie uwolnić. Będzie tu za kilka minut.

— O mój Boże — wykrztusił cicho Arrin. — Nie pozwól by uwolnili Ei. Nawet dwóch z nich na wolności – to koniec wszelkich nadziei, skoro nadciąga ich flota.

Popatrzył na Price'a i jego pewna siebie pogarda powoli spłynęła z niego, pozostawiając okropną pustkę. Nikt, Vurna, czy nie, nie mógłby udawać tego, co widział w oczach Arrina.

— Chcesz, żebym ukląkł i błagał? — wyszeptał Arrin. — Zrobię to. Tylko idź na górę i powstrzymaj ich przed otwarciem tej grodzi.

A Price zrozumiał nagle, że musi to zrobić.

Obrócił się i pobiegł z powrotem korytarzem, a potem w górę po schodach, przepychając się i kopiąc, torował sobie drogę przez grupy plemiennych łowców, którzy chcieli mu pogratulować tego co zrobił. Przez całą drogę po plecach przebiegały mu nieprzyjemne zimne dreszcze, których pierwsze imię brzmiało Zwątpienie, a drugie Strach.

Czy to możliwe, po prostu choćby w minimalnym stopniu możliwe, że Vurna cały czas mówili prawdę?

Hałas dobiegający z poziomu więziennego poprowadził go przez labirynt korytarzy, do obowiązku zapobieżenia wyważeniu przegrody. Skręcił za ostatni narożnik. Burr, Twist i Sawyer byli już wolni. Stali się częścią czoła grupy ludzi, rojących się w korytarzu, którzy systematycznie wyłamywali drzwi kolejnych cel. Dwóch strażników Vurna leżało na podłodze, a trzeci z nich, prawdopodobnie anglojęzyczny przewodnik, próbował się odczołgać niezauważony do tyłu, z twarzą popielatą ze strachu.

Przegroda stała otworem.

Nagle jakiś człowiek wrzasnął drżąco z przerażenia. Potem kolejny i jeszcze jeden, po czym plemienni łowcy zaczęli wywracać się jak pod uderzeniem wielkiej ręki, gdy czoło grupy zawróciło i zaczęło przedzierać się do tyłu. Nastąpiła chwila szalonej paniki. Price stał płasko przyciśnięty

do ściany i patrzył, jak dzielni ludzie przebiegają obok niego i szlochają ze strachu. Potem fala mocy, tak zimnej i obcej, że wywróciła ma nice każdy najmniejszy nawet atom jego ludzkiego ja, uderzyła w jego umysł jak podmuch wybuchu bomby.

W korytarzu stały dwie ciemne postacie.

Byli wyżsi od ludzi. Na początku Price myślał, że odziani są w czerń jak dawni mnisi, z kapturami na głowach. Ale kiedy zaczęli się poruszać, zobaczył, że kaptury i powiewające draperie, jakby obszyte cienką, przezroczystą szarością, stanowią substancję ich własnego ciała, drgającą, przesuwającą się, ślizgającą wokół jakiegoś centralnego rdzenia ich jestestwa. Nie był w stanie dostrzec, czy pod czarnymi fałdami mają twarze i oczy w twarzach, ale czuł, że go obserwują. Czuł, jak ich umysły obnażają go i rozdzierają jego słabe zabezpieczenia, pozostawiając jego umysł nagim i bezradnym przed nimi.

To byli Ei. To było Wielkie Kłamstwo Vurna.

Tyle że oni byli prawdziwi!

Nie mógł tego dłużej znieść. Uciekł.

Wszyscy uciekali. To był przymus. Uciekać. Obłędna panika. Opuścić Cytadelę i uciekać!

Odwrócił się. Ei byli tuż za nimi, sunąc bezszelestnie po korytarzu.

Uciekać. Jak najdalej…

A potem Price i pozostali uciekający, w następnym korytarzu zderzyli się z wodzami spieszącymi, by dowiedzieć się, co się dzieje. Nadchodzący ciągle mieli ze sobą Arrina, jako więźnia.

— Uciekajmy na zewnątrz — wycharczał Sawyer ochrypłym głosem. — Wynośmy się stąd, szybko…

Głos Arrina trzasnął jak srebrny bicz.

— Tak, uciekajcie. Ponieważ oni was urobili, ponieważ ich umysły to dla was zbyt wiele do zniesienia! Uciekajcie i oddajcie im Cytadelę, a kiedy nadciągnie ich flota, oddajcie im też całą Ziemię!

To ich powstrzymało. Przerażenie, jakie poczuli na tę myśl, było tak ogromne, że gorączkowy przymus ucieczki nieco zelżał. Ale za ich plecami, gdzieś z tyłu w korytarzach, tamci szli za nimi…

Arrin szalał z wściekłości i szydził z nich.

— Ocaliliśmy was przed Ei dwa pokolenia temu, kiedy statki Ei zniszczyły waszą obronę i były gotowe do wkroczenia. My weszliśmy pierwsi, powstrzymaliśmy ich, a teraz wy sami ich wpuściliście! A więc, uciekajcie!

— Mój Boże! — wykrztusił Sawyer z porażoną twarzą. — Więc to wszystko było prawdą, to co mówiliście nam o Ei. To od początku była prawda!

Price nie miał, tak jak inni Ziemianie, całego życia do przemyślenia, aby je zrewidować. Złapał Arrina za ramiona.

— Czy jesteśmy w stanie jakoś stawić im czoła? — zawołał. — Czy możemy ich zabić?

— Mogą zostać zabici — stwierdził Arrin. — Ich umysły potrafią powstrzymać wielu ludzi, ale nie nieograniczoną liczbę. Jeśli wszyscy ruszymy na nich, i będzie nas naprawdę wielu, jest szansa…

Price zaczął krzyczeć po korytarzach:

— Przed czym uciekacie? Ich jest tylko dwóch. Wracamy! Musimy ich pokonać!

Plemienni łowcy, których pierwsze przerażenie nieco osłabło, w wyniku czystej reakcji wstydu z własnego przerażenia, wpadli w nagłą wściekłość.

— Ich jest tylko dwóch – chodźmy!

A potem wszyscy nagle biegli już z powrotem korytarzami, przepychając się, tłocząc, krzycząc. Price z Arrinem u boku, ze starym Sweetbriarem przed nimi, z Sawyerem krzyczącym ochryple z gniewu. To był tłum, a nie armia, tłum pchany do przodu przez własne przerażenie.

Za róg i do korytarza, w którym szybko szybowały dwa czarne kształty. I poczuli nagle jakby kroczyli przez noc i śmierć, przez przenikliwy czarne wichry i kłujące dźgnięcia okrutnych mieczy, gdy uderzyły w nich moce obcych umysłów.

Plemienni łowcy krzyczeli i padali, wczepiając się dłońmi we własne głowy. Masa ludzi z tyłu przelewała się nad nimi, wciskając zataczającą się pierwszą falę prosto w niewyobrażalne kształty obcych.

— Zniszczyć ich!

Price, który znalazł się teraz na wrzeszczącym czele, zamknął oczy i uderzył nożem w chmurną ciemność kaptura.

Przeszył go chłód, jakby znalazł się w kosmosie, zataczał się, mdlał i padał, a jego umysł zatrzasnął się w sobie, na okropnym widoku ciasno ściśniętych ludzi, kołyszących się, przetaczających i uderzających w dwie wysokie, zakapturzone postacie, odrzucając je do tyłu, powalając na podłogę.

Kiedy Price otworzył oczy, był już w innym korytarzu, a stary Sawyer uderzał go po twarzy szorstkimi dłońmi.

— Tak — oznajmił Sawyer burkliwie. — Oni nie żyją. I wielu ludzi zginęło razem z nimi, a wielu innych, zachowuje się tak, jakby ich mózgi były martwe.

Otrząsnął głowę, z odrobiną szaleństwa.

— I pomyśleć, że to przez cały czas była prawda…

Łuuum! Doleciał głęboki odgłos spoza Cytadeli. A potem szereg kolejnych, w krótkich odstępach czasu. Łuuum! Łuuum! Łuuum!

— Arrin — stwierdził Price, podnosząc się na drżące nogi.

— Jest w tym pomieszczeniu na dole, ze swoimi ludźmi — powiedział Sawyer. — I wypuszczają rakiety na flotę Ei, w kosmosie.

Teraz już wielkie pociski z położonych koło Cytadeli wyrzutni, wylatywały tak szybko, że nie można było zliczyć odgłosów ich startu.

Price powiedział:

— A więc pozwoliliście mu…

— Pozwoliliśmy mu? — powtórzył Sawyer. — My go poprosiliśmy! Czy myślisz, że chcemy, aby cała flota… z nimi… dotarła na Ziemię?

Zanim Price i Sawyer dotarli do pomieszczenia sterowania rakietami, wszyscy posłańcy śmierci byli już w drodze.

Arrin i jego ludzie czujnie obserwowali ekrany i nie odwracali się od nich. Price i ludzie z plemion widzieli na tych ekranach tylko płonące gwiazdy i ciemną przestrzeń – a potem, wreszcie, niewielką serię jakby skrzących się rac sygnałowych, biegnących jak rój świetlików w ciemnej pustce. Potem już nic.

Arrin odwrócił się w ich stronę.

Sawyer spytał z trudem:

— Czy oni…?

— Tak – odparł Arrin. — Przechwyciliśmy ich, ale naprawdę w ostatniej chwili. Nasza flota zniszczy wszystkie statki, które przetrwają.

Dodał z powolnym znużeniem:

— Wygraliśmy bitwę, ale nie wojnę. Ei jest naprawdę wielu. Jednak ten przyczółek jest już bezpieczny.

Sawyer popatrzył na Price'a. Price powiedział:

— Nie bądź aż tak cholernie dumny. No śmiało, weź i powiedz to.

Sawyer zwrócił się do Arrina:

— Wygląda na to, że myliliśmy się w pewnych sprawach. Co do was, Vurna. Mamy nadzieję, że teraz sprawy między nami będą wyglądały inaczej.

— Mogą wyglądać — odparł Arrin.

— Będą, jeśli tego chcecie.

Po chwili stary wódz Missouris zapytał:

— Skoro teraz wszystko już zostało wyjaśnione, powiedz mi kto wśród nas był zdrajcą? Czy to był Oakes?

Po raz pierwszy na twarzy Arrina pojawił się lekki uśmiech.

— Naprawdę chciałbyś to wiedzieć, teraz kiedy cała sprawa się zakończyła?

Sawyer chrząknął.

— Chyba jednak nie.

Rozejrzał się po innych wodzach, a potem wyciągnął sękatą dłoń w najstarszym geście na Ziemi, zaś Arrin ją uścisnął.

Price i Linna następnego dnia stali na dachu Cytadeli i obserwowali plemiennych łowców wracających do domu.

Wśród odchodzących, jak zwykle, dominowała charakterystyczna duma ludzi z Ziemi. Szli z wysoko uniesionymi głowami, nie oglądając się za siebie. Ale na skraju odległego lasu, zanim weszli między drzewa, co chwila migała odwracająca się twarz i widać było błysk machnięcia ręką.

— Wrócą — powiedział Price. — Na początku kilku z nich, potem coraz więcej, aby się uczyć. Za parę lat będzie już zupełnie inaczej.

Pomyślał, że synowie Ziemi i synowie gwiazd wkrótce staną razem u swego boku, na wielu odległych światach. Długa wojna przeciwko Ei pewnego dnia zakończy się, ta mroczna i obca fala zostanie odepchnięta, a Ziemianie będą w tym mieli swój udział. Ale to wszystko miało dopiero nadejść.

Linna spytała poważnie:

— A ludzie z twojej ukrytej kolonii na zachodzie, też do nas dołączą?

Price popatrzył na nią.

— Nie ma żadnej kolonii, Linno. Przybyłem z zachodu zupełnie sam.

— Ale twoje ubranie… twój samolot… skąd przybyłeś? — Wyraźnie była zaskoczona, oczy miała szeroko otwarte ze zdumienia.

— Wyjaśnię ci to później. Na początku nie uwierzysz mi. Sam niemalże nie jestem w stanie w to wszystko uwierzyć.

I rozmyślając o dziwnym wybryku siły i przypadku, który wyrwał go z dawnej Ziemi, Price poczuł ostatnie ukłucie nostalgii za tym utraconym światem sprzed wielu lat. Tamte czasy, kiedy bezpieczni na swej przytulnej małej planecie ludzie, snuli marzenia o kosmosie i gwiazdach – teraz wydawały się prawie, jak dawno już martwa idylla młodości.

Ziemia z tamtych czasów nigdy nie miała już powrócić. Runęła na nią szeroka galaktyka, a straszliwa i wspaniała rzeczywistość zniszczyła młodzieńcze marzenia, zaś do społeczności gwiezdnych światów dołączała obecnie zupełnie inna, bardziej poważna planeta. Kto wie, co ją czekało na tej szerokiej, kosmicznej scenie? Jego dłoń zacisnęła się na ręce Linny. Nagle poczuł się bardzo pewny, co do swego niewielkiego udziału w tej wielkiej przyszłości.

KONIEC